

Julian Tuwim • Rzecz Czarnoleska

*Lecz, nie kwiląc jak dziecię,
Raz wywalczę się przecie;
Złotostruna nie opuść mnie lutni!
Czarnoleskiej ja rzeczy
Chcę – ta serce uleczy!
I zagrałem... I jeszcze mi smutniej.
C.K. Norwid*

Rzecz Czarnoleska – przyptywa, otacza,
Nawiedzonego niepokoju dziwem.
Słowo się zwolna w brzmieniu przeistacza,
Staje się tem prawdziwym.

Z chaosu ład się tworzy. Ład, konieczność,
Jedyność chwili, gdy bezmiar tworzywa
Sam się układa w swoją ostateczność
I woła, jak się nazywa.

Głuchy nierozum, ciemny sens człowieczy
Oстрыm promieniem na wskroś prześwietlony,
Oddechem wielkiej Czarnoleskiej Rzeczy
Zbudzony i wyzwolony.



Las Rzeczy

Pismo Koła Literackiego UKSW • Numer 2 • Maj 2003

Numer zredagowali:

Katarzyna Bujnowska, Magdalena Woźniewska, Dominik Sulej i Adam Roguski

Projekt graficzny: Adam Roguski

Strona internetowa: www.lasrzeczy.prv.pl

E-mail: lasrzeczy@poczta.onet.pl



Wiersze

Katarzyna Bujnowska	2
Jacek Wiśnicki	6
Rafał L. Trzeciński	7
Katarzyna Drabik	8
Bartłomiej Starnawski	12
Magdalena Pawłowska	15
Adam Roguski · Trzy złe wiersze	17
Katarzyna Świstowska	18
Iwona Kwiatkowska-Milińska	19
Maria Szczepankowska	25
Anna Gocłowska	32
Karolina Banasiewicz	33
Magdalena Frankiewicz	33
Barbara Wojtyńska	33
Grupa poetycka „Pragnienie” · Smutne pory. Czteropak	42

Formy prozatorskie i dramaturgiczne

Robert Bizarre · Przekleństwo ziemi. Reportaż	4
Paweł Stangret · Jesień i uda	9
Anna Świrszczyńska · Śmierć Orfeusza	20

Teksty publicystyczne

Katarzyna Bujnowska · Antynomie i pozory	14
Dominik Sulej · Wyznania twórcy pokątnych analiz lektomańskich	16
Magdalena Saganiak · Hip hop – hurraaa?	26
Magdalena Woźniewska · Królik umiera, kiedy jego uszy są zranione	34
Katarzyna Bujnowska · Rozmowa z Krzysztofem Koehlerem	36
List od prof. Antoniego Czyża	43

Katarzyna Bujnowska

Bojenie

Boję się zostać
w tramwaju sam na sam
z człowiekiem.

Boimy się wejść
w miejsce pracy,
by nie wyjść z twarzą
napiętnowaną gruzem.

Bać się własnego dziecka,
by w majowy dzień
nie wyraziło swej miłości
nożem.

Z lękiem witać brzask
w miastach odartych z gwiazd,
w ulicach nagich z boga ciszy.

Trzeba odnaleźć miejsce bez szumu.
Patrzeć na drzewo zielone, obrzmiałe brzuchem liści.
Patrzeć na świat oczyma dziecka.

*

Spóźnione motto:
Żeby prowadzić dziecko trzeba mieć czyste ręce.

Nagie oczy

Rozłupuję ci oczy.

Rozbieram je stopniowo
z cudzych rzęs,
ze sztucznych świateł.
Migotanie powiek
szczytuje gwałtownie.

Zdejmuję wonnymi olejkami
pył ulic, kurz drzew, atomy tramwajów.
Wydrapuję żarłocznie
wyuczone pozy źrenic,
grymasy dnia.
Rozczesuję fryzury rzęs.

Zawstydzone nagością twoje oczy
przyzwyczajam do temperatury mego światła.
Nie mają się już w co przyodzisać,
w co się schować.

Nagie oczy już –
Teraz mów.

Japrzestrzenia

niewypowiedziane zdania
rozbijają się o cząstki
wibrującej ciszy

w próżni zawieszona
noga
paznokciem trze drogę mleczną

myśli niepoznakowane
kontrapunkty psyche
nieuzasadnione nazwą
p a r a l i ż u j ą s i ę

pretensje kwiatów Ofelii
ponad normę
cywilizowanej psychodelii

ja przestrzenia
mieszkaniec świata
dekorator swego wnętrza
negocjator swoich praw
stylista twarz

japrzestrzenia
wypełniam się po brzegi
pianą

ja-prze-paścia

Przewiny

Metaforę winy wypluj
z nasiąkniętych grzechem
ust.
Zaszczekaj garścią banałów
w ramach obronnej
mowy.
Piasek ludzkiego śmiechu
we włosy mi
wrzuć.
Niech zapomni go wiatr –
ziarno przez przypadek w oku
wyfłucze obłąkana ła.

Ale tak –
przebaczam...

I ciepłem łona utulam póki nie umrzesz.

* * *

i znów nie przyszedł
dzień
zmartwychwstania nas

wciąż więzną w gardłach
gorsety fraz
sztywne i bezpłciowe
jak krochmalone prześcieradła

szydzą z niemoty
przystankowe gmachy
banalnej jak wypowiedanie siebie
gdy zamiatamy oczyma chodniki
lub szlifujemy przedoskonałe obłoki – –
mówiąc – – mówiąc – – gubiąc – –

zaprzeczanie teodycei
Wierzę – Ufam – Kocham
wpisane i w tę chwilę

i znów nie przyszedł
dzień
przemienienia ciał zdań
nieczystych jak gnostyckie cząstki materii

Ontologia dotyku

„na skrajach prawdy rośnie dotyk”
Z. Herbert

istnieję dla ciebie
katedrą bioder
łukami nagich ramion
unaoczniasz mnie
tylko przez skowyt paznokci
rozpoznajesz po zapachu kadzideł ciała

istnieję tylko
w błędzeniu twych palców
po linii kręgosłupa
w pierwotnym i nocnym obrzędzie
lepienia pieszczot z gliny
w transfuzji ciepła serca
drogą zmysłową

niebył osiągam
poprzez słowa
przestaję istnieć
w paragrafach zwierzeń

Może modlitwa

wlej kształt w fajansowy gniot
rozognij popioły zdań na cztery strony świata
szkielety myśli uzbroj w siłę ciał

snujące się po korytarzu mary zgaś
ludzkim obłędem nadaj sens
żądę wchłon jak mędrzec cykute

mgły nocne naświetl mocą dnia

bądź nam powietrzem
chlebem dla mas

* * *

owiana jestem dymem
z udziałem rozmowy
spalenizną prawdy –
każdej z osobna.
frustracja artykulacji
do szpiku dławiąca pobliski kory drzew
dociera do mnie
jak znaki na piasku

nonsens dymu
niestałość piasku

to nie ten kanał
poznania

Wędrowki dzienne

zamglona czyjaś twarz
roztrząskuje mnie
w pokaleczonych lustrach dnia
o korytarzowe tunele
uliczne labirynty
w na pozór prostych
pasach dla pieszych –
miejskach kolizji przechodniów

schodami do coraz to nowych pomieszczeń
i tak samo pustych
szukam

pomieszkaj ze mną wśród traw
policz mewy

Przekleństwo ziemi

Reportaż

Robert Bizarre

Wschodni Iran – Mashad – hotel przy ulicy Ahmadabad.

Miałem sen: wchodziłem przez patio ze sztucznymi kwiatami do jasnej i przestrzennej willi.

Nad wejściem był napis „Hospicjum”. Tylko tyle. Wewnątrz willi wisiały fotografie – portrety chorych w maskach uśmiechów. Schody, dywany, lampy, czysto, antyseptycznie. Przywitał mnie człowiek w bieli, pielęgniarz albo lekarz.

– Dzień dobry – powiedział – Proszę tutaj. Zaczniemy od góry, a potem zjedziemy na parter, do sal dziecięcych.

– Więc są tu też dzieci? – zapytałem.

– Tak, dzieci jest bardzo dużo. Przeważnie z białaczką. Podeszliśmy do windy.

– Przepraszam... Zdaje się, że cierpię na amnez...

Nie pozwolił mi skończyć

– Chce pan spytać, czy byliśmy umówieni? Niech pan o tym teraz nie myśli i stara się jak najwięcej spamiętać. Z tego, co pan zobaczy, usłyszysz, odczuje.

Elektroniczny sygnał, błysk lampy, rozsunęły się drzwi. Ujrzałem obszerną salę. Niebieską od wykładziny, którą rozświetlały jarzeniówki. I przenosiły jej niebieskość na ściany i część sufitu. Wszędzie stały łóżka oddzielone od siebie płótnami parawanów. Widok jak z okna Vermeera – na kanał w kleszczach kamienic, ultramarynę wody, na szalupy i barki, i dziesiątki płóciennych żagli.

Na pierwszym łóżku od windy skręcał się człowiek. Był nagi, lecz nie nagością bezwstydną. Raczej nagością ekspozycji w muzeum osobliwości. Z oczu patrzyło mu dobrze. A z ciała? Śmiercią, rozkładem. Jego cera miała tyle zmarszczek – małych, delikatnych nacięć – tyle plamek i starczych deformacji, że wyglądała jak jedna wielka blizna. Jakby ktoś chlusnął mu w twarz kubkiem wrzątku. Ale oczy miał smutne i dobre, dlatego nie przerażał – wzbudzał litość i chciał mu się pomóc. Powtarzał: „piciu, piciu, piciu”. A kiedy mówił trzęsa mu się ręka.

– Podać panu wody? – zapytałem.

– Później – powiedział mój opiekun – Później będziesz miał jeszcze na to czas.

Za następnym parawanem były nawet dwa łóżka. Dla mężczyzny i kobiety – być może małżeństwa. Kobiecie chy-

ba rak zabełtał umysł. Wrzeszczała, zrzucała z siebie kołdrę, próbowała chwycić za włosy stojąca obok wolontariuszkę. Wzywała Boga i kopała w metalową poręcz. Mężczyzna nie reagował. Leżał spokojnie, przełykał ślinę, patrzył. Oczy zwęziły mu się w szparki, ale i tak wydawały mi się duże. A w tych oczach – pamiętam swoje zdziwienie – w tych oczach było jednak życie.

Wolontariuszka schyliła się po basen i wyszła, żeby go opróżnić. Spytałem wtedy mojego *cicerone* o rzecz, która mnie zaniepokoiła. Dziewczyna usługująca pacjentce robiła to bez pasji, niejako z obowiązku lub nawet przymusu. Czy naprawdę pracuje dobrowolnie, czy też wywiera się na nią presję?

– Czy dobrowolnie? W pewnym sensie tak. Proszę mi przypomnieć, żeby przed wyjściem dał panu skrypt pod tytułem „Opieka hospicyjna”, napisany przez naszego psychologa. Każdy z nas go na początku studiował i wiele jego fragmentów znamy na pamięć. Tam znajdzie pan wszystkie odpowiedzi. Czy dobrowolnie? Nasz mocodawca uważa, że ludzie są skrupowani. Nie są i nigdy nie byli wolni. Od samego początku. Niektórzy nie mogą się z tym pogodzić. Toteż pragną nieśmiertelności, bo nikt nie czuje się wolny, jeśli rządzą nim prawa życia. Ale bunt – czy nie jest tak z każdym buntem, który wybucha z bezsilności, nie mając szans na powodzenie? – bunt przeciw ograniczeniom wolności prowadzi do jeszcze większych ograniczeń. Paradoxs? Być może, ale on tak uważa. Według niego musimy zrezygnować ze swej woli i dać sobą pokierować. Wtedy będziemy wolni, wolni naprawdę!

Totalitaryzm, pomyślałem. Huxley, Zamiatin, Orwell.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział po przerwie – Empatia. Wolontariusze, pan wie, aby dobrze pracować, muszą poznać zwyczaje i rozkład dnia naszych pacjentów, zgadywać ich myśli i pragnienia. I nie wiem, jak to się dzieje, ale w sposób zaiste niepojęty, opiekunowie przejmują cechy tych, którymi się opiekują. No i widzi pan, od empatii przeszedłem do apatii, którą pan dostrzegł w zachowaniu dziewczyny.

Rozmawiając zjechaliśmy na dół. Musieliśmy przepuścić chorego w stanie agonalnym. Chemia, operacja albo prześwietlenie. Parter, gdzie wcześniej spotkałem Opieku-



na (w myślach zacząłem go już tak nazywać) i tam, gdzie czekaliśmy na windę, przypominał osadę rozłożoną wzdłuż drogi. Bardzo długi korytarz, zakończony oknami, z którego wchodziło się do małych sal. Dużej sali, jak na pierwszym piętrze, tutaj nie było. Usłyszeliśmy płacz i poszliśmy za nim, i dotarliśmy do sali przy końcu korytarza. Kilkuletni chłopiec siedział na podłodze. W rękę trzymał samolot. Na drzwiach ktoś przymocował kartkę (kratkowaną, w blaszanej oprawie). Był na niej napis „Michał 6”, wyniki rozmazu szpiku, wykres temperatury i kolumny liczb, w tym liczby leukocytów. Kiedy podszedłem bliżej i dotknąłem jego nagiej głowy, powiedział przez łzy:

– Mama... że człowieki rodzą się i umierają... a ja nie mogę...

Ręce miał nakłute igłami, na prawej – założony wenflon.

– Co to jest u diabła? – przeniosłem wzrok na twarz Opiekuna. – Dlaczego nikogo tu nie ma? Przecież chłopak płacze. Przecież go bardzo boli.

– Dostał dzisiaj morfinę – odrzekł Opiekun. – Nasza sztuka medyczna jest niedoskonała... Jest niedoskonała. Chemioterapia niszczy złe, rakowe komórki... Niestety zabija też dobre.

Następna scena, którą pamiętam, rozegrała się pod oknem długiego korytarza. Jako rekwiizyty mieliśmy zapalniczki, plus popiołkę i paczkę fajek. Opiekun stał tyłem do światła, trzymał w rękę fajkę i mówił. Musiała to być jego kwestia:

– A wie pan, co znaczy „hospes”? Pamiętam to słowo jeszcze z akademii. Po łacinie hospes to gość. I stąd hospicjum – dom gościnny, schronisko dla podróżników i pielgrzymów. Dla ludzi, którzy zbłądzili w obcej ziemi albo nie mają siły dotrzeć tam, gdzie chcieli. Mogą wtedy odpocząć w hospicjum. Wynająć pokój, wziąć kąpiel, wypić gorącą herbatę, wymienić wrażenia ze szlaku z innymi wędrowcami...

Straciłem wątek. Zapatrzyłem się na korkową tablicę. Wisiały na niej plakaty, jakie można widzieć w każdej przychodni. Reklamy leków przeciwbólowych, porady dla kobiet w ciąży, przestrogi dla rozpustników (rzeźączka i tak dalej). Ale z boku tablicy były rzeczy ciekawsze – poezje

i prozy pacjentów. Wiersze, notatki, listy, wypisy z dzienników. „Kochana Kasiu, pamiętaj, proszę, że istnieje ścisły i doświadczalny związek między onkologią i ontologią” (Bogdan, Misiek, nowotwór płuca). „Ich głowy – guzy złośliwe / ich dzieci – przerzuty / ich ciała – w lansadach bólu...” (Fragment poematu „Czy poezja po chemii jest jeszcze możliwa?”, Agnieszka, 38 lat, nowotwór piersi). Ten tekst ostatni, długi i przesiąknięty teologią, z którego cytuję trzy przypadkowe wersy, był zamierzony jako nowa „Boska komedia”. W każdym razie tak mi się zdawało.

I znowu słowa Opiekuna: „...wszystko ludzie, którzy wcześniej – zanim trafili do hospicjum – nie pozwolili sobie pomóc. Sobie – albo swoim dzieciom. Tak, tak, również dzieciom. Zaskorupili się, zamknęli, nie dali do siebie przystępu. Poza tym, trafili do nas będąc na granicy. Życia i śmierci, otwartych i zamkniętych powiek. Nie potrafili jej wcześniej przekroczyć i już jej nigdy nie przekroczą. Bali się ryzyka, a prawdziwe życie to hazard. Myśleli, że umrzeć znaczy przegrać, a teraz skomlą o śmierć! Przebywają w stanie terminalnym. Jeszcze chwila, a ustanie puls, urwie się szept oddechu, wyblakną krwawe wybroczyny. Ale ta chwila nie chce nadejść. Coś ciągle trzyma ich przy życiu. Ktoś potajemnie wsącza w nich witalność...”

Tymczasem zagłuszył go pisk i niski, męski głos, który wydobył się z głośników.

„Zwracam się do pracowników Centrum Wolontariatu. Nie ustawajcie w wysiłkach, aby poprawić samopoczucie chorych, aby pomniejszyć ich cierpienia. Mówiłem wam to wcześniej: będziecie usługiwać! Przez całą wieczność, przez nieskończone cykle czasu! Ścielić i przesuwac łóżka, wozić pacjentów na zabiegi, wyklepywać im plecy i smarować je maścią, żeby zapobiec powstawaniu odleżyn. Mówiłem wam: będziecie uciszać najgłośniejszych krzyżących i znosić najgorsze przekleństwa. Pobierać krew i robić zbędne transfuzje, asystować przy punkcjach lędźwiowych.

Będzie to dla was największa nagroda.

Będzie – to dla was – największa nagroda.

Będzie – to dla was...”

■ Robert Bizarre

Jacek Wiśnicki

Ranność

Krzykiem obudził się dzień
I lepкими palcami deszczu
Wybija na parapecie melodię
Która jest jak tupot małych stóp
Martwym blaskiem poranka
Idzie do mnie a jego kroki
Pochłania głodny dywan
Pustym miejscem w pościeli
Dotyka mnie
Zimną ciszą
Ciszą
Staję się ciszą

* * *

Jeszcze tylko zegar z pobliskiej wieży
Średniowieczny kaznodzieja
Z namaszczeniem wskaże niebo
Memento mori i czerwony tramwaj
Uśmiechem niedowiarka na zakręcie
Wieczne wczoraj Pragi

Pijane kamienice chwieją się na wietrze
Z każdą cegłą tracąc resztki sensu
Pogubiły drogę zawiane gołębie
Kreślą czyjeś imię niebo jak dach dworca
Pobielone ściany
Ma rzeźnia na rogu

Mijam
Żydowski cmentarz na którym
Czas rozdał swoje karty
Dalej hektary ludzi naręcza plastikowych
Kwiatów w bramie wiara ciągle żywa

Tańczą szkielety domów na skraju pola
Betonowe hosanna bloków w dali.

Słoneczna pielgrzymka jedenogiego starca

Pogrążona w miłosnym śpiewie
Kosów aleja owocowych drzew
Droga donikąd wspomnienie
Jednonogi starzec i jego cel

W sercu miasta szachownica
Wyblakłych trawników
I równe kroki betonu
Równe kroki betonu
Równe kroki betonu.

Wiersze nieskończone

I

Wobec gorliwego trwania
Dębu szypułkowego
Brata mojego,
Pochylonych pokornie
Akacji
I suchej studni
Postanawiam
Szukać i odnaleźć.

II

Noc.
Droga i pole przytulone
Do miasta.
Latarnie śpiewają,
Świeci śnieg,
Wiatr szumi o szukaniu.

Chodzę w zero
Depcząc swoje ślady,
Nieodmiennie zdziwiony
Prostotą zającą
Przez pole.

III

Jasne okno
Topnieje w oczach.
Park.
Noc.
Każdy krok
Budzi kaskady dźwięku.
Słyszę
Odległe głosy bezsennych
Ziewanie wiązu,
Którego troskliwie
Okrywa zima
I ciche przekleństwo
Upadającej gwiazdy.
Wbijam wzrok w ciemność
Na skraju zimnego światła
I powoli rozcinam jej miękką zasłonę.
Jasne okno stopniało
Za plecami.
Czekam.

W czekaniu
Trwam.

IV

Znów Bezsenna noc
Uśpiony park
Leży na wznak.

Czarne
Palce drzew
Przez sen
Obejmują słońca
Latarń.

Idę
Białą aleją.
Światło i mrok,
Jak dzień i noc.
Cisza. Tylko
Równy krok.

- Cisza -
I ślady na śniegu.
Właśnie tak
Czekam na
Znak.

Wiersz na bilecie pisany

Proste żelazne tory
Koleje i koleiny
Szalone tropy zająca
Na martwym jeziorze.

Wracam.
Nowonarodzony
Głupiec.

Przybite gwoźdźmi
Słupów trakcyjnych
Białe pola
Uciekają
Uciekają.

Rafał L. Trzciński

Akt pierwszy

wszystkie źrenice
powtarzają ten obraz

nagie wzgórze, kamienie
wyuzdana winorośl
na jasnej kamiennej sofie

prawie wszystkie to prawda
nieliczni świadkowie
omroczeni światłem
patrzą na plamy cienia

skąd w tobie ta żarliwość
w godzinie zmierzchów
the soulless sun of Galilea

na wszystkich twarzach cierpkie
uśmiechy i krople pragnienia

z początku zmieszane przemawiają spojrzenia
później ona i on
szepczą zakłopotani

kiedy nadejdzie chwila transgresji
ucichną Kana i Kanaan
ustaną wszystkie szepty

do tego czasu jak zawsze
cierpienie i cierpliwość

niedocieczona woda
niedocieczone wino



Katarzyna Drabik

Non omnis moriar

powyginane rachityczne
barokowe aniołki
wymachują skrzydłami myśl
non omnis moriar
co z tego że
nie wszystek że
nie umrę że
zostanę w pamięci
bez pamięci zapamiętana
skoro
zwiędnę
i rozkruszę się w pył
bo są przecież jakieś
granice wytrzymałości
kiedy znieść już dłużej
nie można że
można
przekroczyć cienką
granice świata
przenikać betony i ściany

* * *

czy to my
czy to nas
jedzą
w dzień i w nocy
objadają z mięsa i kości
czy to my
czy to po nas
przejeżdżają tramwaje
i przechodzą drzewa
szeleszczące liśćmi
jak piachem
czy to nam
czy odbiciom naszym
rosną nosy długie
jak wieża Babel
niewinne a uzbrojone
w drewniane ręce
i języki co wypijają
soki z wszelkich
wnętrzości i snów
czy to my
czy to nas
obracają w proch i pył
udając że to tylko
requiem ku czci

* * *

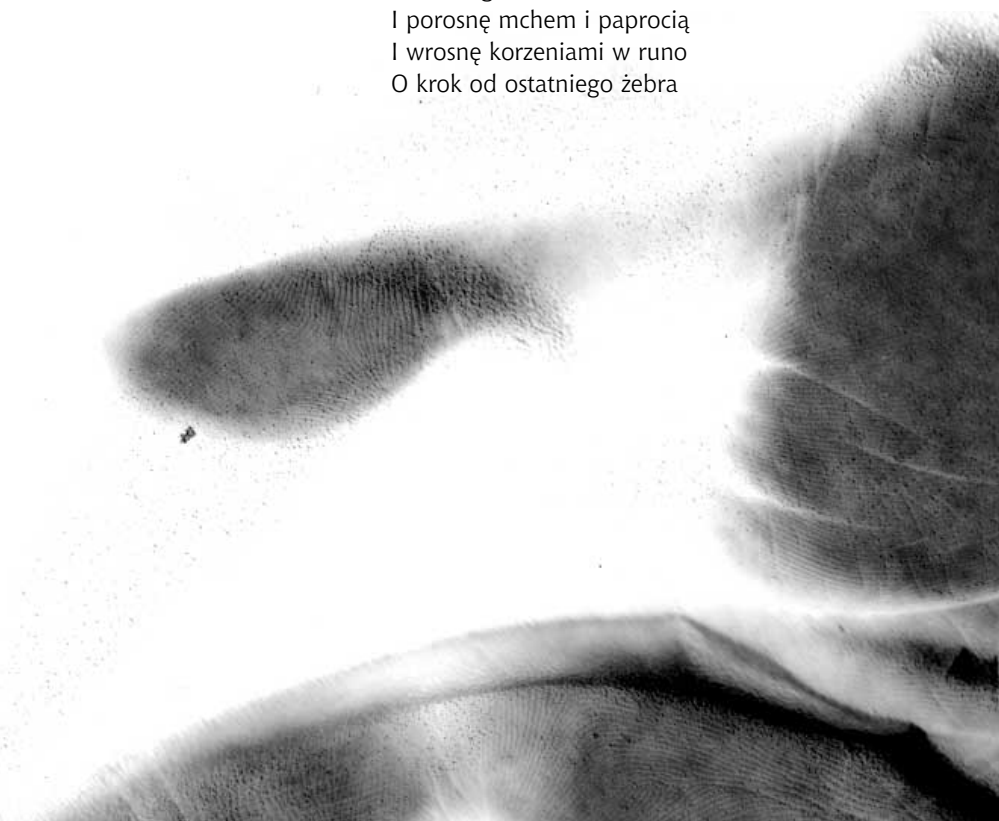
Oto jestem ze szkła
Z bożej łaski Izabela
Przezroczysta i preczysta
Błogosławiona jestem ja
Izabela
Błogością po mnie spływa dzień

Trzymaj mnie bo rozprysnę
I cały zakrwawię
Tak z trudem i mozolnie
Lepiony wszechświat

Izabela
Zachłanna ja
Przebłogosławiona
Wracam

* * *

Tam gdzie kończą się zębra
Zaczyna się las
I duży to las
I gęsty to las
I z tego lasu wystrugam sobie koronę
I berło sobie wystrugam
Z lasu tego drzew
I porosnę mchem i paprocią
I wrosnę korzeniami w runo
O krok od ostatniego zębra



Jesień i uda

Paweł Stangret

Kiedy upadniesz, to nie tylko wskazane jest, lecz wręcz naturalne, abyś się nie przejął. Podnosisz się i otrzepujesz. Idziesz dalej. Dopiero później zaczyna ci lecieć krew. Jeszcze później to zauważasz. Najpóźniej postrzegasz, że krwawisz. Proszę mnie za to nie winić. Tak działa hemoglobina. Proszę powtórzyć.

– Hemoglobina.

Wypełnił całą salę ten wyraz. Od białych ścian, niczym nie urozmaiconych, od w żaden sposób nie uporządkowanej bieli odbiło się czerwone od ognia i krwi słowo.

Może tego nie widać, ale jest to obraz straszny i przerażający...

Poza tym ja zawsze się boję, kiedy małym ludziom każe się tłumnie powtarzać jedno słowo. A przecież w nieokreślonej, żywiołowej bieli mowa redukuje się do krzyku i jednego słowa.

Tak, tak i po trzykroć tak.

– Hemoglobina – wydekłamały dzieci.

– Dobrze. Nie trzeba uczyć się tego słowa. Nie będę mówiła o białaczce. Powiem wam dzisiaj, dlaczego trzeba kochać waszego misia.

– Dlaczego?

– Misio to też człowiek.

– Kto?

– O tym będę mówić, ale nie wiedziałam jak rozpocząć. Nie mogłam przecież wyjść i powiedzieć wam wprost o miłości. Nie mogłam tego zrobić, mimo że jestem przepasana skórą pantery. Ale to tylko spódniczka i w dodatku krótka. Tak w ogóle to sztuczna skóra. A kiedy się nie wygląda jak Jan Chrzciciel, to nie można tak jak on formułować zdań.

– Mój tata może – wybuchła na końcu sali fraza. Chłopiec był dumny ze swego ojca, który z zawodu był Janem Chrzcicielem.

– Ale ja nie mogę, ale muszę i...

Zgrzyt żelaznego dzwonka zamknął lekcję. Jak zwykle, przerwa wybuchła niepokonanym potokiem lawy dźwięków i barw. Lawina runęła. Pani nauczycielka została sama.

Co ona właściwie zrobiła? Weszła do klasy i biednym, małym dzieciom pokazała swoje zakamarki.

Duszy, a może psychiki...

Problem polega na tym, że pani nauczycielka przysłała i obnażyła przed dziećmi swój dylemat. A trzeba przyznać dylemat niemały.

Ze szkoły droga prowadziła przez skwerek. Pani nauczycielka wyszła z budynku i chcąc nie chcąc przekroczyła kawałek zieleni. Obecnie był to kawałek szarości, bo jesienią zieleń usypia. Szła przez skwerek i myślała o tym, że bardzo współczuje naturze. Żal jej się zrobiło przyrody.

– Mam teraz problem, to i kwiatki są zwiędnięte. Ale kwiatki są zwiędnięte, bo jest jesień. Kiedy przyjdzie lato, kwiaty rozkwitną. Staną się pełnią swojej kwiatowości, wybuchną swoim jestestwem. Problem będzie rozwiązany. Jednak gdyby nie udało się dylematu przekroczyć, to kwiatki i tak rozkwitną. Jesień przyjdzie jesienią, zima zimą, wiosna po zimie, a lato zacznie się latem.

– Nawet miesiące nic nie znaczą.

Szara myśl wypełniła głowę nauczycielki.

– Czas nie jest w stanie być cezurą dla pór roku.

Nie skończymy tak szybko opowieści, ale trzeba przyznać, że od takiej konstatacji zaledwie krok dzieli człowieka od stryczka. Jednak problem to problem. Zagadnienie podniesione przez panią nauczycielkę nie pozwalało dotrzeć niczemu ze świata zewnętrznego.

Na skwerku pojawił się anioł. To oczywiście: problem – więc anioł. Trzeba przyznać, że anioł pojawi się zawsze. Wcześniej czy później każdy spotka swojego anioła. Problem ma swoje korzenie w stanie psychicznym człowieka. To właśnie sytuacja neurologiczna wywołuje określone typy aniołów.

– Witam. Jestem wystannikiem światła i innych przyjemnych rzeczy. Przychodzę pocieszać.

– Witam. Bardzo dobrze, ponieważ potrzebuję pocieszenia. Właściwie, to potrzebuję pomocy w problemie.

– Tak, wiem.

Anioł pogrążył się w świecie swoich marzeń, pragnień i obsesji.

– Zagrajmy w karty.

Propozycja była niewspółmierna do rangi problemu, ale to najczęstszy błąd anielski.

– Ja nie umiem grać w karty.

– Nikt nie umie grać w karty, gdyż jest to gra losowa. Tu reguły dyktuje coś pozaludzkiego. – Wyjaśnił anioł.

Pani nauczycielka wiedziała, że partię pokera, czy miasza trzeba i tak umieścić w pewnej porze roku. Tak myślała w trakcie gry. Po kilkunastu rozdaniach, zastawiła swoją duszę i przegrała.

Rozstali się bez przykrości. Straciła duszę i nic się nie stało.

– Więc psychika! – Radość wypełniała ją tak samo, jak żądza anioła...

Anioł patrzył na znikającą za świerkami szarą postać nauczycielki. Zagrał z nią w karty. W czasie gry mocno podglądał. Przedmiotem łamania prawa wzrokiem nie były kartoniki z namalowanymi monarchami, lecz cud jej ud. Z kontemplacji natury wyciągnął wnioski. Wyszło mu, że to, że do tej pory był gwałcicielem nie jest bezpośrednią pochodną ud i jesieni. Zaczęły gnębić go wyrzuty sumienia dotyczące zbrodni na ciałach i drzewach. Zbrodni przeciwko ciałom drzew.

Zima zaczęła się zimą. Granicy jej rozpoczęcia wcale nie wyznaczył grudzień. Boże Narodzenie także pozostało bierne wobec ustalania cezury zimy. Nawet przerwa semestralna na uniwersytecie czy rozwód prezydenta nie miały wpływu na przyspieszenie, skrócenie, złagodzenie bądź zaostrenie zimy. Nie. Zima przyszła zimą.

Zima wystartowała po kole postępu czasu. Ale przecież wyglądała jak jesień. Kwestia, dlaczego zima wygląda jak jesień, głęboką bliźną wryła się w serce bohaterki. Schodząc do piwnicy swoich myśli, zauważyła, że winien temu jest czas. Ponieważ nie wiedziała jednak, czym jest czas, kupiła sobie kuchenkę mikrofalową i czekała aż przyjdą...

Z wolna zaczęła tracić nadzieję. Właśnie wtedy mieli przybyć. Ludzie zawsze przychodzą, gdy się na nich nie czeka. Tak. Najlepszym sposobem na spotkanie jest unikać wszelkich spotkań. Z gośćmi, bowiem jest tak samo jak z husarią – ratuje wszystkich bez pytania o zgodę na oswo-bodzenie.

Trzykrotne pukanie do drzwi domu wyrwało ją ze snu. Otworzyła drzwi. To byli oni. Trzy czarne płaszcze z lampkami u góry. Pani nauczycielka ucieszyła się i zaprosiła „The visitors” do domu.

Zazdrość wzbudzały w niej lampki, które gościom zastępowały myśli. Światło oczywiście dawały białe, zwykłe. Pani nauczycielka paliła się światłem żółtym. Białe światło w jej przypadku byłoby świetliste, potrafiłoby ruszyć na ciemność jak husaria, a światło żółte? Co oznacza taki blask i czy to w ogóle jest blask? Tego, niestety, nie wie nawet narrator, który opowiada to wszystko przy świetle czerwonym. Idź na dziwki czytelniku, bo światło czerwone oznacza co innego. Nie wie biedny narrator, co, jednak jest mądrzejszy i wie, że nie oznacza tego.

Po co przyszli do pani nauczycielki, wiedzieli wszyscy. Każdy podjął się swojej roli bezbłędnie. Prawdziwy profesjonalizm pokerowych oszustów zagęszczał i tak już duszną kuchnię.

Goście czuli się jak u siebie. Naturalne przecież jest, że jeśli ktoś kupuje sobie kuchenkę mikrofalową i czeka, to spodziewa się „The visitors”. Oczywiście niektórzy czekają na anioły, lecz postać niebios wcześniej czy później oka-

żą się tylko akwizytorami. Poza tym człowiek bez duszy nie zauważyłby drugiego dna, jakie niesie ze sobą postać anioła.

Pani nauczycielka przygotowała dla swoich długo oczekiwanych gości rząd ławek. Stworzyła teatr, w którym zamiast sceny była kuchenka mikrofalowa – centrum życia artystycznego był sprzęt gospodarstwa domowego. Narrator nie wspomina, że przed takim spektaklem pani nauczycielka wyrzuciła radio i opłaciła dozorcę, aby strzelał do kataryniarzy. Nie wspomniał, ponieważ każdy średnio kulturalny człowiek, który choć raz był w teatrze, wie, że muzyka nie służy iluzji. Prawdziwą ufudę znajdziemy tylko w ciszy teatru sprzętów gospodarstwa domowego. W ogóle cisza – wejście w siebie rodzi grę i teatr.

Widzowie zasiedli przed mikrofalówką i rozpoczęło się przedstawienie.

Teraz – cokolwiek by to nie znaczyło – pani nauczycielka poczuła, że jest teraz. Teraz trwało kilka razy po teraz, jednak było jednym teraz, tyle że złożonym z wielu innych terazów.

Właśnie poczuła zapach stali unoszącej się w powietrzu. Zrozumiała. Nareszcie spostrzegła, że jej uda są teraz. Teatr trwa teraz i „The visitors” byli i są teraz.

Poczuła zapach opancerzonego czasu. Przemykał gdzieś obok, niczym czołg. Był bliski jak goście i daleki jak czołg. Oddzielony i zabezpieczony przed wszystkim pancerną stalą. Nie można go było dopaść, lecz można go było złapać i wykorzystać. Podpalić się nie da – jest z pancernej stali. Można go zawrócić – przynajmniej teoretycznie. Można także wyjąć jednego czołgistę i torturować go rozgrzanym terazem. Pani nauczycielce wystarczyło jednak samo zrozumienie – myśl abstrakcyjna starczała jej za wieczorny posiłek. Spektakl dokonał swojej egzystencji i gospodyni odesłała „The visitors” do siebie.

– Niech idą i świecą. Pomyślała pani nauczycielka.

Teraz po przebyciu wielkiej drogi krętą ścieżką myśli i dojścia do teatru własnego wnętrza, goście ze świata sztuki nie byli jej potrzebni.

– Niech idą i uświadamiają innych. Niech ich lampki głoszą dobrą nowinę.

Taka odprawa może dziwić, ale z drugiej strony dobrą nowiną jest to, że dobra nowina jest tylko lampką. Gdyby oni mówili, to nikt nie kupiłby kuchenki mikrofalowej. Spadłaby produkcja i mnóstwo osób popadłoby w nędzę. Zaczęliby kraść, mordować dla zysku i oszukiwać. Więzy rodzinne uległyby rozpadowi, a to przyniosłoby kolejną falę zachowań destrukcyjnych.

Tak oto światło obnażające teatr uratowało społeczeństwo od degradacji materialnej i moralnej.

Wieczorem trzeba było wyruszyć na miasto. Na początku pani nauczycielka czytała znaną powieść znanego noblisty. Co więcej! Nie dosyć, że była to znana powieść znanego noblisty, to na dodatek była to świetna książka. Nic tak przecież nie działa jak dobra książka.

Trzeba się było jednak rozstać z lekturą. Nic nie ujmując noblistom, żadna, nawet dwutomowa powieść nie jest w stanie odmalować piękna rozpoczynającego się wieczoru w mieście. Zresztą dzieło w dwóch tomach zawsze zro-



dzi schizofrenię o podłożu paranoidalnym lub na odwrót – paranoję na gruncie schizofrenicznym. Tak czy inaczej, zawsze to przyjemnie wślaczać żywą, egzystencjalną psychikę w pojęcia ograniczone wielką literą i kropką.

Lektura usnęła. Teraz można było obserwować miasto. Pani nauczycielka zauważyła, że nowe domy górują nad dawnymi.

– To przecież oczywiste. Nowe domy zawsze będą górowały nad starymi, ponieważ nowe domy są teraz, a stare już były. Jeżeli zaś teraz jest teraz, to teraz zawsze będzie górowało nad tym, co już było. Dzieje się tak właśnie dlatego, że teraz jest teraz.

Tak przechadzała się w myśli. Ekwilibrystyka i ewolucje deklamatorskie wymagały wielkiego skupienia. Przecież wystarczyło jedno potknięcie, aby dotknąć chłodnej ręki

kresu życia. Lecz psychika lubi takie spacerowanie na linii rozpiętej pomiędzy wieżowcem semantyki a wieżycą brzmienia.

Tak, tak. O ile wadą duszy jest to, że zawsze wątpi w istnienie duszy, tak pierwiastkiem ujemnym posiadania psychiki jest fakt żywienia się myślami. Zamykając się w elektrycznych impulsach myśli, psychika staje się brutalnym kanibalem. Zaczyna zjadać własne myśli, co w rezultacie prowadzi do pochłaniania samej siebie. I tak skończy się to przyjemną, co prawda, aczkolwiek zapchajdziurą z charakteru, zabawą. Zamykanie żywego organizmu myśli w klatkę kropek i graficznych zapisów głosek rodzi rzeczy wielkie. Rzeczy wielkie są przyjemne, ale nie mogą zastąpić własnej zabawy. Tak. To jest cudza psychika zamknięta w cudzą klatkę. Dlatego zapisywanie myśli niczemu nie służy. Przecież nawet własne myśli, gdy je zapisać, przesta-

ją być własne. Tu muszę przerwać wtret odnarratorski, ponieważ sam narrator już nie wie, o czym myśli.

Na deser psychice pani nauczycielki przyszła ochota na myśl o cel tej wędrówki po mieście.

– Jadę do szkoły, madamme.– Rozwiązała dylemat pani nauczycielka.

Ciekawe, że do psychiki zawsze trzeba się zwracać z dystansem, lecz także z uwzględnieniem pewnego uhierarchizowania. To dziwne, ponieważ do duszy można mówić wprost i po imieniu. Z duszą można iść na wódkę, co jest niewykonalne w odniesieniu do psychiki. Dusza lubi i umie się bawić. To jest dobry kumpel, podczas gdy psychika zawsze zachowuje dystans. Nigdy nie wiadomo, co się tam kryje. Psychika jest jak prawnik zajmujący się sprawami notarialnymi rodziny.

– Jadę do szkoły, by tam spędzić noc przed lekcją.

Biedaczka. Całe życie bała się, że lekcja przebiegnie inaczej niż była zaplanowana. Że się po prostu nie uda – jak zresztą może się udać coś, co nie jest po naszej myśli.

Pomijamy dywagacje, czy to kompleks, czy niespełnienie.

Niespełnienie albo kompleks pani nauczycielki dały łatwo się przykryć. Jeżeli coś by się nie udało, to zawsze pozostawała ostatnia deska.

– Pochlaliśmy wczoraj z dyrektorem i lekcję prowadziłam na kacu.

Wymówka akuratna, ponieważ dyrektor szkoły był zawsze pijany. To nie dziwi. Przecież prowadząc szkołę nie można być trzeźwym, jak uczy przykład śmierci...

Tak. Przykryć kompleksy albo niespełnienia alkoholem nie jest źle. To nic, że więcej niż dwie lampki wina, pite w celu uniesieniu przy pomocy zmysłów, konkretnie jednego, wchłonęła tylko dwa razy. Pamięta jednak ten czas. Uwolniony od gramatyki, tak zwykle do czasu przykutej.

Tak. Powroty do czasu wymagają tylko częstszych odwiedzin „The visitors”.

Pani nauczycielka zaczęła się przygotowywać do lekcji.

– Zacznę cytatem:

„Czekaniem mając obrzękłe prawice...”

No i dobrze. Celowe potknięcie w artykulacji zawsze można przedstawić jako przypadkowy błąd. Trzeba trochę dobitniej mówić, aby głos płynął pewnie. W takim układzie całość zostanie wybaczona.

„Czekaniem mając obrzękłe prawice...”

– A potem komentarz. Wysłałam kiedyś z ram kartek, ale że mi się nie podobało, to już więcej nie wyjdę. Dziękuję.

Konspekt zajęć dydaktycznych poprowadzony wzorowo.

Właściwie należałoby już kończyć. Damy tylko obraz spotkania nauczycielki z karaluchem. Gdy pani szykowała się do lekcji, po podłodze pełzał karaluch. Nie słuchał jej. Podszedł tylko i spojrzął na nią.

– Boże! Jaki obrzydliwy typ, czy okaz.

Trzeba przyznać jej rację. Karaluch bowiem do miłych przeżyć nie należy. Zwłaszcza nasz własny. Niestety. Tekst martwy, ona żywa, a karaluch się ruszał. Chcąc nie chcąc, okazało się, że pani nauczycielka ma duszę. Tak jest lepiej. Można ją przegrać i mieć nadal.

Na skwerku była wiosna, bo była wiosna.

■ Paweł Stangret

Bartłomiej Starnawski

* * *

miny wyłożone na stół
cieniu mój
po kolei: dwie pary kareta poker
włączam światło aby poczuć
że jeszcze jestem
że jeszcze mam ręce
spocony oddech
o ile jeszcze ciepło podąży po moich krawędziach
o ile jeszcze świeci nocna lampa księżycy
o ile prąd moich myśli jeszcze się iskrzy po synapsach

zobacz – mój cieniu
jak powietrze wypadłe
tańczy w szklistym spojrzeniu
w szklanym spadaniu
na zatłuczenie
na zatłoczenie w ciemność

nie wiem
na ile jeszcze nie śpię
nie wiem

* * *

a jednak
nie przybyli
ani jedno
na ratunek

a więc
nie zjawili się
nawet na tyle
żeby ukołysać chociaż

a zatem
myśli same w domu
narobią rabanu
zapaskudzą kąty

nie przybyli ani jedno
nawet na tyle
żeby ukołysać
choć na ratunek

a mówiłem tyle razy:
nie dokarmiać okazji

x.x.x (wzajemność)

chodź –
niech poczuję krótki moment
twoje ciało opuchnięte
niechaj zagra znów symfonia
pod palcami moich noży

ręce twoje czynią rzeźby
w węzowijnych głodnych tonach
a nogami rozpościerasz różanego menueta
gdy paznokciem znaczę błyski
w geometrii twego karku

echem staje się upiornym – głowa
elektrycznie jednolita
gdy fontanny twoich włosów
są dywanem pod me stopy
którym krwawo usunięto
po dwie pary skrzydeł
z żeber

chodź – –
niech usłyszę jeszcze raz
jak się z trzaskiem kończy skóra
oderwana od mych mięśni
twoje mięśnie od mych kości
twoje kości od mych ścięgien
i jesteśmy
tylko popatrz
jak napięte struny harfy
znowu w pudle piegowatym

bezskuteczni
beznamiętni
i bez miary nieparzyści

znowu gramy
w tętna cudze

my?

ja –
w srebrnych owalach spokoju
w nocne szmery szurania szepty
odchodzę od być
w bądź-co-bądź
aksamitny jak ochłodzony popiół
i światłocien licujący formy

ty –
w szklankach i strukturach
zakradasz się do świtu od tyłu
śmiechem zabiłaś centaury
godna jesteś zatem tego,
aby ci oczy malowali z natury
w krew w ziemię w kamień
w wydłubanie

my –
razem
zniecka milczący
od niechcenia
osobno
zwątpieni

Ziemia Piotra

jest taki miejsce
Niezadaleko
pod dolną ścieżką powiek
gdzie niewezbrana płaska łąka
mieszka w poziomej nierzeczywistości

gdzie stukłoności wieloręki
podają sobie małe dłonie
na zarośnięte powitanie

a wszelkie różaki lilowce
piaskacze
i cudaczniejsze wielotrawy
są wielkim małym dworem
w ciągłym podrygu i ukłonie
to w nagłym zamszu cichego zastygnięcia

jest takie miejsce Niezablisko
choć nie ma już takich cesarzy
choć poumierali bezpotomnie
w zabaldaszonych wezgłowiach komnat
gdzie płynnie jeszcze zimne srebro
gdzie wolno złocą się lekkie klejnoty
wszystko misterne – czuć rękę Złotnika

jest takie miejsce Tu – i – teraz

Dorosłość

nie bujaj się
na huśtawce,
bo niebo
się zarwie

jesteś za duża
jesteś za duży
zejdźcie!
natychmiast!

do zjeżdżalni
uśmiechu
przechodzimy ukradkiem

Antynomie i pozory

O wierszu Bartłomieja Starnawskiego

Katarzyna Bujnowska

Lubię, kiedy po przeczytaniu wiersza odczuwam niepokój i niedosyt. Mimo pozornej oczywistości obrazowania i – jak na początkowe obcowanie z tekstem – w miarę klarownej wymowy, „coś” każe doszukiwać się czegoś więcej, popycha do wnikliwszego dotknięcia. Odczuwa się, że to, co najważniejsze, nie wyrażone bezpośrednio, jest ukryte. A odkrywanie jest najbardziej frapujące, pasjonujące. Angażuje, wymaga aktywności, nawet jeśli nie do końca uzasadni się niepokój i nie w pełni zaspokoi. Spośród wierszy Bartłomieja Starnawskiego zaniepokoił mnie szczególnie jeden:

X.X.X. (klepsydra)

na przestrzał światu – tylko szkło i metal
jak ręka ojca
która daje zimnego klapsa

gromadzimy się
przesypujemy
nie ma nas

a niebo na które łagodnie spoglądam
straszliwie nie nasze, nawet nie niczyje
bezlitosne i wzdęte
jak brzuch chorego

na takim tle
twarz – uśmiech czasu
malowana w oleju rozpacz
w oczach pali się słońce, tylko po omacku

gromadzimy się
przesypujemy
nie ma nas

zawracamy oczami
na płaskowyz zdziwienia swoją obecnością
białego jak kolumna z gipsu
i zgrzytu zębów

straszliwie pojedyncza to liczba

Powiedzieć, że wiersz jest o przemijaniu, to zbyt proste, to pójdzie na łatwiznę i – w pewnej mierze – niesprawiedliwość wobec tekstu. „X.X.X. (klepsydra)” patronuje motyw przemijania, przebija myśl, że życie człowieka to tylko „cień chwilowy”. Ale na takie ograniczenie nie pozwalają niepokojące metafory i – jak się okazuje – znaczące ukształtowanie tekstu.

Na początku przypatrzmy się obrazom poetyckim. Wyrażają one przede wszystkim przestrzeń, w której odbywa się oglądanie świata i sposób uczestniczenia w nim podmiotu lirycznego. W pierwszej strofie (właściwie w pierwszym wyrażeniu) mamy ogrom przestrzeni otwartej – „na przestrzał światu”, ale jest ona zimna, wyrachowana, krucha i zarazem twarda – „tylko szkło i metal”. Zdawałoby się, że jest panoramiczna, w wielości elementów, jakie prezentuje krajobraz wschodzącego słońca, gdy na nie patrzymy. Tutaj, w pierwszym wersie, po myślniku, zostaje zawężona do szkła i metalu. Obraz drugi (w strofie trzeciej) to niebo obrzucane łagodnym spojrzeniem. Niebo na pozór istnieje dla każdego, kto na nie patrzy i kto ma do niego wstęp. Jest wypełnione – pięknem barw, zmieniających się kształtów obłoków bądź czyjaś obecnością. Ponieważ niebo implikuje transcendencję. Dla chrześcijan jest miejscem wiecznej szczęśliwości, nagrodą, także miejscem przebywania Boga, aniołów i świętych. Jest sferą sacrum. Niebo w wierszu Bartka jest puste – „straszliwie nie nasze, nawet nie niczyje”. Nie jest wypełnione czymś (to pozór), ale wzdęte chorobą. Na naszkicowanym krajobrazie w strofie kolejnej ujawnia się „twarz – uśmiech czasu”. Upersonifikowany czas, ograniczony do twarzy i uśmiechu, wpisuje w tę przestrzeń jakąś opatrność, los – jakoś sytuującą się poza powierzchnią, z perspektywy której mówi i obserwuje podmiot liryczny. „Uśmiech czasu” może być również łagodną, naturalną świadomością przemijania. Początkowo wyczuwa się pewną subtelność w tym obrazie, spokój, ale pozorny, bo w następnym wersie zostaje zdegradowany – „uśmiech czasu” staje się metaforą olejnego płótna wyrażającego rozpacz. W ostatniej strofie podmiot mówiący unaczynia swoją postawę (i tych, w których imieniu mówi) wobec świata. Warto w tym miejscu powtórzyć, że sytuacją liryczną jest patrzenie. Uczestniczenie podmiotu w tym świecie, jedyny ruch i aktywność zawiera się w obserwacji i bez-

wolnym „przesypywaniu”. W tej obserwacji odbywa się jednak swoiste „dzianie się”. „Zawracamy oczami / na płaskowyż zdziwienia swoją obecnością” – gest zawracania jest niejako wprowadzaniem siebie do tej przestrzeni, czyli poprzez jej ogląd, może kontemplację świata, jesteśmy w niego wpisani, uczestniczymy w nim. Przecież to złudzenie. W rzeczywistości nasza obecność, istnienie odznacza się świadomym działaniem.

Szkicowanie perspektywy i za chwilę gwałtowne obniżanie jej – jakościowe i ilościowe – stanowi oś obrazowania w tym wierszu. „Przestrzał świtu” zostaje ograniczony do dwóch elementów („szkło i metal”), co nadaje negatywny wydźwięk, spotęgowany dodatkowo porównaniem: „jak ręka ojca / która daje zimnego klapsa”. Niebo dla podmiotu jest tylko „bezlitosne i wzdęte”, tu również ujemnie porównane do „brzucha chorego”. Łagodność uśmiechu, przemijania staje się rozpaczą. Słońce daje się dostrzec „tylko po omacku”, obniżenie wyraża się w niepokojącej metaforze: „w oczach pali się słońce”. Obserwowana powierzchnia („płaskowyż zdziwienia”) jest „jak kolumna z gipsu / i zgrzytu zębów”, czyli jest czymś nietrwałym jak gips i zatrwającą (bo „zgrzyt zębów”). Porównania pełnią tutaj dodatkową rolę – degradują wartość obserwowanego elementu świata utworu. Ogrom, przestrzenność są tutaj pozorne. Miejsce „gromadzenia się / przesypywania” nie jest przestrzenią otwartą, jest przecież szczelnie zamknięte, ograniczone do naczynia tytułowej klepsydry. Zabiegi takie prowadzą do przewartościowania semantycznego. Ukazują antynomie. To, co uznawane za wielkie i wolne, staje się ograniczone; co wydaje się dobre, okazuje się chore. Pokazanie sprzeczności i pozoru projektuje interpretację.

W ten sposób autor buduje napięcie, które zostaje zintensyfikowane ostatnim wersem, ten z kolei zdaje się zdradzać tajemnicę wiersza, dookreśla kondycję podmiotu lirycznego. Powtarzającym się dwukrotnie strofom: „gromadzimy się / przesypujemy / nie ma nas” (wypowiedziom w liczbie mnogiej) została przeciwstawiona oddzielna, niejako „wyrzucona” na koniec fraza – subiektywne wyznanie, niemal westchnienie podmiotu – „strasliwie pojedyncza to liczba”. Jest to antynomia rozstrzygająca. Dlaczego? Bo w rzeczywistości nie ma gromady, z jaką co dzień „przesypujemy” się przez życie. Podmiot nie odczuwa tożsamości z nią. To, co łączy go z innymi, jest tylko obserwacją i zdziwieniem. Pozornie przebywamy razem, przemijamy wspólnie. Podobnie jak przestrzeń pozornie otwarta, perspektywiczna i wypełniona – w rzeczywistości jest zimna i niepokojąca. Jest zamknięta w ciasnym naczyniu klepsydry, w szyjce, w której przeciskamy się jak małe ziarenka psianki. Ergo – jesteśmy samotni. Życie nie mija wcale w liczbie mnogiej.

Magdalena Pawłowska

I stało się...

poczułam
twój cień
na swym ciele

skradł się
niczym mrowie rozkoszy
i posiadł
te kilka falbanek
nie zdjętych jeszcze
w łożence

nareszcie...
...

* * *

niewidoczna a żyjąca
światłem śmierci
noc rozpromieniająca
–
gwiazda

zimowa noc

Mgła na niebieskich
gwiazd planecie
nicość głucha
cisza niczyja

bo niebo też zasypia
gdy nikt nie
puka do drzwi



Wyznania twórcy pokątnych analiz lektomańskich

O wierszu Katarzyny Bujnowskiej

Dominik Sulej

Ostatnio mam nową metodę wybierania interesujących tekstów poetyckich. Przyznaję się do niej wstydliwie. Jest niegodna polecenia. Wyobrażam sobie czytany wiersz na swoim nagrobku. „Imaginuję” sobie, jak go czytam zatrzymawszy się niby przypadkiem, pośród wielu setek innych podobnych nagrobków. Dziecinne to i nieprofesjonalne, obiecuję sobie, że zarzucę taki styl pracy nad tekstem. Już sama doza wyobraźni tu użyta jest niepokojąca. Ten „ja” stojący pośród cmentarza, setek tablic – coś straszego. Gdyby każdy lektoman [sic! – to taki grafoman, tylko inaczej] zabawiał się w ten sposób, nekropolia rozrosłaby się po wszystkie horyzonty, a na każdej tablicy – wiersz. Groza. Zwłaszcza, gdy pytam siebie, kto może leżeć pod spodem. Poeci, sami poeci? No, nie – wszak jeden z tych nagrobków jest mój. I staję w osłupieniu, bo przypominam sobie, choć z rumieńcem, że sam kiedyś napisałem – o! jak straszliwe jest to słowo w tej mrocznej chwili – WIERSZ. Więc na czyj grób patrzę? Może ktoś, inny lektoman, gdzieś za linią horyzontu, czyta mój tekst myśląc, że stoi nad swoim miejscem wiecznego spoczynku. Zatem KTO TAM leży? Ja? On? A TU, KTO leży? O zwodnicza metodo, rozwiewam twe miazmaty! Czytam:

* * *

kiedy mój świat legnie
definitywnie w gruzach
przyjdź zapłakać

wciąż goni mnie
nocnymi ulicami
mała dziewczynka
z zajęczą wargą

ja gram

Wiersz bez tytułu. Jeden z wielu takich. Oczyszczony z tego, co można nazwać „autorskim preprojektem”. Wiersz sam sobie. Trzy gwiazdki – to ślad tytułu. To tak, jakby pozostała konwencja, ale bez treści jej przypisanej. Konwencja tytułu. *Convenire* – schodzić się. Ale nad pustym miejscem. Są trzy gwiazdki, byśmy wiedzieli gdzie się zejść, jednak tego, po co przyszliśmy, tu nie ma. Tytułu brak do odwołania.

Pierwsza strofa to aklamacja. Wołanie do kogoś. Nie wiemy do kogo. To nie jest tutaj ważne. Chodzi o samo wołanie. I jeszcze coś. Styl tej strofy, mimo że tak krótka, jest natychmiast rozpoznawalny. Trąci poetycką sztampą. Zwraca na siebie uwagę. To wołanie jest pełne nieuzasadnionego w żaden sposób patosu. Nie wiemy, dlaczego świat podmiotu lirycznego ma lec w gruzach. Wiemy, że ten świat jest już jakby nadgryziony jakimś rozkładem. Ktoś ma płakać, przyjść i płakać. Ogólnikowość drażni, jednocześnie jest zderzona z aklamacją posiadającą znamiona rozpaczy. To drażni jeszcze bardziej. Jakaś narzucająca się niewspółmierność elementów. Więcej – cała ta strofa mi się narzuca. Chce się powiedzieć – kicz.

Jest jednak druga strofa. Obraz sugestywny, niepokojący. Symbolika poza wszelką topiką. Jakieś niejasne przeczucie niedoskonałości, zagrożenia, pewnej stałości opisywanej i otaczającej podmiot atmosfery. A jest to atmosfera mroczna – ucieczka, pogrążone w mroku ulice. To uwodzi, jesteśmy uwodzeni. Nie możemy odkryć sensu, ale czujemy prowadzącą nas rękę. Sens nie rodzi się tu w procesie wyobraźniowego wypełniania metafor. Każda próba brnie w rejony nadinterpretacji. Jeśli zdecydujemy się na lekturę stawiającą na pierwszym miejscu odczytanie obrazów, wiersz ten będzie zachęcał do wypełniania siebie, jednocześnie skazując ofiarnego czytelnika na niepowodzenie. Jeśli nie, nonsens okaże się pozorem.

Jest trzecia strofa. Krótka – „ja gram”. Ważne: oddzielona od poprzednich dwa razy większym światłem. Jest osobna. Nie należy do strof poprzednich. Jest jasna. To krótka konstatacja, opisująca postawę egzystencjalną pod-

miotu (wszak nie chodzi o grę na flecie poprzecznym). Ona oświetla to, co przed nią, wyjaśnia. Jest wyraźnym znakiem dystansu osoby ją wypowiadającej do samej siebie. Więcej – nakazuje dystans nam – czytelnikom. Ale nie chodzi tu o stwierdzenie: to, co poprzednio, to gra, nic ważnego. Mówi raczej: przyjrzyjcie się użytemu językowi, popatrzcie na te jątrzące strofy, ja użyłam (autor jest autorką) tego języka, użyłam go w sposób niepokojący, otarłam się o sztafpę, powtarzalność, ale teraz przeczę temu językowi, mówię: „ja gram”, czyli jest on elementem mojej gry. Strofy poprzednie są sfunkcjonalizowane. Stanowią elementy klarownej, opartej na dysonansie struktury.

To nie koniec. Teraz scalam.

To, do czego doszedłem, to myśl o postawie grającej (nie – gracza, bo autor jest autorką). Jednak czułbym niedosyt, gdyby to wyczerpywało ten tekst. Nie mogę zapomnieć wołania z pierwszej strofy, tak gwałtownie najpierw odrzuconego w linearnym procesie analitycznym, nie mogę też zapomnieć atmosfery ewokowanej przez strofę drugą, której uwodzeniu pochopnie się oparłem. Strofa ostatnia rzuca wstecz promień interpretacyjnego światła i każe stwierdzić – gra. Jest w tym coś z ciosu, gwałtu. To jest uderzenie w język, którego cechy opisałem powyżej. W język niewystarczający, zaprojektowany jako – lub istotnie – ułomny, który wszak próbuje oddać rozpacz w aklamacji, strach i niepokój w obrazie. Jaka sytuacja rodzi taki akt. Czy jest to sytuacja panowania? – gra może być panowaniem, może wynikać z woli grającego. Gra jednak może być też czymś innym, może być sytuacją narzuconą, przychodzącą z zewnątrz, może być zniewoleniem, czymś przyjmowanym pod naciskiem okoliczności zewnętrznych. Czyż dwie pierwsze strofy tego wiersza nie są opisem takich okoliczności? Są ich znakiem. To, co w tych strofach tak chętnie odrzuciłem na początku, musi powrócić jako integralna część tekstu. Zatem odrzucana sztafpowość jest elementem klarownej struktury liryku. Ale i niepokój, ale i rozpacz. Wiersz jawić się zaczyna jako pełny, mimo pozornej dezintegracji. Struktura klaruje sens, odsłania go. Gra jest rozpaczą i niepokojem. Gra jest tutaj tragiczną świadomością swojej sytuacji. Atak na język, korzystanie zeń w taki sposób, tę świadomość wyraża.

Trzy złe wiersze

Adam Roguski

Zły

Szatan ma mnie na oku,
szatan puszcza mi oko.
Mym oczkiem w głowie
chciałby się zrobić.
O, czy nabiorę się na to?

Gorszy

Licho nie śpi. Licho się tylko przyczaiło
i w ukryciu sączy krople gniewu.
Ziarnko do ziarnka, przebierze się miarka
– mruczy mile łechtane, cierpliwe.

Najgorszy

Grzechotnik ślizga się po wszystkim, co napotka,
śród wszechobecnych w tym kraju jabłoni.
Owoce same się garną do dłoni.
Przechodzę przez życie na czerwonym świetle,
pestki grzechoczą w żołądku...

Katarzyna Świstowska

sterowane oddalenie

piasek rozmyty twego ciała oddechem
lekka chęć odebrania pozytywnego wrażenia
uśmiechem
sterowanego oddalenia

oddycham

miętowością starą szafą prababci i twymi stopami oddycham
jak starym prześcieradłem przykrywającym
oderwaną od reszty otwartą ranę –
twojedłoniemojepłecy
odtrąceniem strawieniem zmutowaniem oddaleniem
zapalę dla ciebie kolejną – już za innego nadpaloną – świeczkę

stara panna

wieczna w swej miłości
ułamna w wietrze-niewierze
starta
a wspaniała
stara stara stara
zmęczona

tylko te listy te listy
wspomnienia
pocałunku
dwa byty dwa byty

butelka prawie już pusta
skinienie diabła
i samotne ciągle usta

* * *

czego chcesz ode mnie
ty co masz wszystko
miliony gwiazd i całą ziemię
daj mi oddychać szarą sukienką
i kwiatem paproci
wyprowadź na spacer
i rzuć mi pod nogi papierosa
ten papieros przydeптany twoim butem
zostawiony tylko dla mnie
siedmiominutowa rozkosz
ośmiominutowo krótsze życie

rzuć miliony papierosów

czekam

niby słońcem niby deszczem
jestem
niby dłonią niby kijem
żyję
niby kanka pełna mleka
czekam

inny ikar

Rafałowi Wojaczkowi

wyświechtany płaszczem
leci poeta
przez wrocław
opium i alkohol
bo tętnice nabrzmiałe
opium
zmysły wyostrzone
i alkohol
słońce razi i spala

a on chce latać
rozwinąć wyswiechtane skrzydła
i powtarzać bogom
wybrałem

Auto-endokrynolog

Matka tyle obiecywała ciepło wonie i apetyt
tymczasem
wszystko to oszustwo matrycy powtarzalności
a wynika z moich bioder i piersi
nic na to nie poradzę że nigdy nie będę Kobieta.

* * *

więc
jestem silna
a słaba
niczym łądyżka
koniczyna
tylko trzylistna

czwarty
doklej go
na młodość
na łzę
lub przypnij
na cień

Iwona Kwiatkowska-Milińska

Bezrzeczywistość

Nie kaźcie poetom pisać o wojnie.
Słowa rozpadają się z hukiem,
myśli uciekają do Bunkrów Bezpamięci,
Bezczasu, Bezbólu.

Mówili o tym wiele. Milczeli długo.
Zapisywali na nieczułych kartkach
krótkie listy z barykad,
ostatnie uderzenie serca dziecka w łonie zagazowanej kobiety,
numer z pasiaka zaczepionego na drucie.
Potem pisali NIGDY WIĘCEJ!
i wierzyli, że nigdy więcej zdarzyć się nie może.
Czytali Biblię i szukali miejsc dla powszechnego Elizjum
od Litwy aż po Ur, gdzie wszyscy śpiewaliby pieśń dziękczynną.

Ale w Ur nie chciano pieśni.
Na szóstym piętrze domu w centrum Bagdadu, w oknie
dwoje małych dzieci wodzących oczami
za szybkimi samolotami i ogniami wybuchających pożarów.
Bezwidzenie. Bezgłos.

Urodziny, których nie było 6 marca

Irenie M.

Szykowali Cię przez cały dzień –
kąpiel, makijaż, włosy i zielona suknia,
którą lubiłaś najbardziej.
Twoje ciało bez oporu poddawało się
tym wszystkim zabiegom –
wczoraj jeszcze czułe i ciepłe choć bardzo słabe,
dziś nieruchome, uległe, może trochę blade.
Jeszcze o tym nie wiesz – A. kupił Ci nowy, wieczny dom
w samym środku parku.
Jutro przeniesie Cię przez próg i
nie będzie chciał zamknąć drzwi za Tobą.
Przyniesiemy dużo kwiatów.
Wyglądasz pięknie, jak przed każdym balem,
trochę onieśmielona, lekko uśmiechnięta,
ale bardziej spokojna niż zwykle.
Łzami wznieśliśmy toast urodzinowy.
Niech chóry śpiewają Ci niekończącą się pieśń.

Wiosna

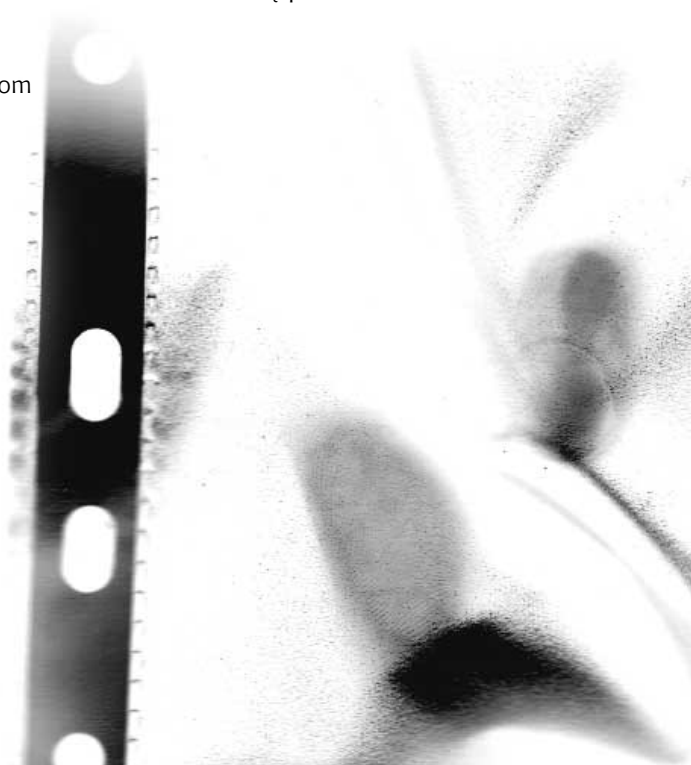
Popatrz, Maleńka,
Sroki znalazły miejsce na nowe gniazdo.
Dziobami mierzą odległości od gałązek,
aby za chwilę przyfrunąć z patykami na miarę.
Zbudują dom dla swoich dzieci.

Młode zające jeszcze nieśmiało
rozwglądają się po ściernisku.
Muchy – zwiastunki końca snu ziemi -
uporczywie stukają do szyb okiennych.

W naszym ogrodzie zakwitną prymulki, Córeczko.
Ze zgubionych przez sikorki zimowych ziaren
wyrosną zioła i słoneczniki.
Zabłąkany kret wykopie się pod krzakiem róży –
na przekór lękowi,
na przekór wojnie
i śmierci.

* *
* *

Ubiorę się w filozofię
tę, którą przyniesie mi myśl najczystsza.
Uszyję z niej suknię na tę noc.
Potem zakwitnę,
ale tylko na chwilę.
Wtedy
zerwij mnie
zanim zwinę płatki.



Śmierć Orfeusza

Anna Świrszczyńska

Muzyka

MENADA: Chcecie posłuchać opowieści o śmierci Orfeusza, najdziwniejszego z śpiewaków? Jak szukałyśmy go długo, my, menady, aby schwytać i zabić i jak pewnej nocy natrafiwszy na ślad czekałyśmy wiedząc, że przyjdzie. I zdarzyło się, że gdy jedne leżały u brzegu strumienia, a niektóre tańczyły

Muzyka

– ukazał się Orfeusz po środku polanki, a ujrawszy jak podnosimy się z wolna i przybliżamy wielkim kołem zrozumiał, że umrze. Roześmiał się tedy i mówił:

ORFEUSZ: Chwileczkę, szlachetne panie. Tak, to mój kres. Nie ma wątpliwości. Miałeś nosa, Orfeuszu, żeś wyszedł tej nocy na przechadzkę, zamiast spać, jak inni porządni ludzie. Upolowałeś piękną niespodziankę – śmierć. I to nie byle jaką – z ręki bachantek. Owych bajecznych bachantek, o których pełno niestworzonych plotek i gadania w każdej wiosce greckiej, w każdej gospodzie. Niechże wam się przypatrzyć z bliska, znakomite istoty. Ha ha! Jaki tłok. Ciekawość, widzę, wzajemna. Jedna przez drugą pcha się, by zobaczyć Orfeusza, by posłuchać jego głosu, prawda? Tego głosu, co kołysał fale i zwierzęta. Ile oczu! Oczy chmurne, zniecierpliwione, złośliwe, naiwne – oczy bezwstydne, żarliwe, roztargnione. Bogowie! ani jednej pary oczu spokojnych.

MENADA: Nieuprzejmy jesteś, Orfeuszu.

ORFEUSZ: Ja? Och, to bardzo bolesny zarzut, nadobna istoto. Zawsze byłem galantem wobec dam, wielbicielej pięknej płci, moje panie, a przy tem dworak – nadworny śpiewak bogów – ha, ha!

MENADA: Jak ty się śmiejesz.

ORFEUSZ: Po prostu.

MENADA: Czy tak samo uciszałeś wzburzone bałwany? Po prostu?

ORFEUSZ: Tak.

MENADA: Ja jestem Aglae, przodowniczka w tańcu.

ORFEUSZ: Czemu drżysz?

MENADA: Ja zawsze drzę. Bachantki wszystkie drżą.

ORFEUSZ: I wszystkie tak śmiesznie przysiadają na piętach kołysząc się, gdy chcą się czemuś dokładnie przyjrzeć, jak teraz? Słuchają, ale jak łakomie słuchają. Poruszają wargami, jakby moje słowa były wodą, którą można pić. Co za audytorium. Nie miałem jeszcze takiego. Nawet zwierzęta słuchają inaczej – wstrzemięźliwie, o, bo zwierzęta są etykietalne. Chcecie piosenki?

MENADA: Ułóż piosenkę o śmierci.

ORFEUSZ: Już ułożyłem, posłuchaj:

Czy widzicie na niebie
palec Ananke?
Ananke pisze:
„Kiedy Orfeusza
spotkają menady,
rozedrą go”.
I dodaje:
„U stoku góry. Nocą”.

MENADA: Nie jesteś wymowny. Co to jest Ananke?

ORFEUSZ: Nie śpi nigdy.

MENADA: Więc podobna jest do nas.

ORFEUSZ: Świat cały wierzy w Ananke. Ananke nie może dotąd uwierzyć w siebie. Brak jej potrzebnej do tego inteligencji. To ją chroni. Nie ma wyobraźni, dlatego włada światem.

MENADA: Gdyby miała wyobraźnię...

ORFEUSZ: Milcz, bezbożna. Ananke wszystko słyszy.

MENADA: Czy ona oddycha? Czy jest potworem?

ORFEUSZ: Możliwe, że ma dziesięć nóg. Możliwe, że ma gardło i ogromny żołądek, co trawi wszystko, jak żołądek strusia. Tak, na pewno jest przerażająca.

MENADA: Jak zwie się naprawdę?

ORFEUSZ: Wy, menady, kochacie imiona, jak wszystkie istoty, które pragną gwałtownie.

MENADA: Imię – to niby zaczarowane rękawiczki. Można przez nie ująć rzeczy nieuchwytnie.

ORFEUSZ: Chcecie ujmować rzeczy nieuchwytnie.

MENADA: Imię to niby sieć. Można w nie złowić na chwilę różne rzeczy. Bogów i zwierzęta, czasem trwogę, czasem szczęście. Ale ta sieć ma zbyt wielkie oka. Za szybko wycieka z niej wszystko. Zaklęcia słowa są za słabe. Dlatego zaklinamy także gestami.

ORFEUSZ: Zaklinacie także zabijając.

MENADA: Zaklinamy zabijając.

ORFEUSZ: Dziwnie tak rozmawiać siedząc wśród was. Oczy wasze migocą, patrzycie niemal pokornie.

Monotonny śpiew menad

Co to?

MENADA: To śpiew bachantek.

ORFEUSZ: Cichy niby do snu.

MENADA: Nie zasypiamy nigdy, dlatego śpiewamy kołysanki.

ORFEUSZ: Szukałyście mnie od dawna.

MENADA: Od dawna, jak się szuka skarbu. Jak się szuka źródła. Jak się szuka oszałamiającego bogactwa. Ludziom wystarczy słuchać twego głosu, lwom zlizywać twój ślad, kobietom – płakać. Menady pragną cię zabić.

Bo potokiem jest Orfeusz,
a my wypijamy potoki.
Powietrzem jest Orfeusz,
a my wypijamy powietrze.
Płomieniem jest Orfeusz –

ORFEUSZ: O, duszyczki wzruszające! O, duszyczki łakome! Czy potraficie wypić płomień?

MENADA: Patrzysz na nas z uśmiechem. Kto cię nauczył kochać menady? Trudno je pokochać.

ORFEUSZ: Jesteście tak blisko, że słyszę jak biją wasze serca. Pochylacie czoła ruchem zwierząt. Płonicie się. Jakież to potężne zamyślenie okuwa wasze członki? Oczy zmacone, gęby powoli żują ciemną trawę. Pewno gorzka, bo kąciki ust wyginają się, cieknie z nich ślina.

Doprawdy, ogarnia mnie wzruszenie. Chciałbym pogłaskać którą z tych głów. Włos na nich nigdy nie czesany wyrasta jak nieujarzmiona roślinność, wiję się według wdzięcznych i osobnych zwyczajów, przyrodzonych roślinności. O – cóż to? Czemu tamta pomrukuje gryząc palce? Tajemniczy ból

targa jej piersią. Czy za dziecięciem, urodzonym gdzieś przy drodze, na jednym z tysięcy przewędrowanych szlaków górskich, a które dziś porwał wilk? A może sama rzucała je ze skał, a teraz opłakuje z czułością tygrysy.

MENADA: Ulecz nas.

ORFEUSZ: A cóż posiadacie prócz swej choroby? Cóż posiadają ludzie prócz swych nieszczęść? Zbyt są biedni, by je bogowie mieli odbierać.

MENADA: Nie uleczysz?

ORFEUSZ: Mogę zabawić. Aglae, siądź bliżej. Nie wiem czemu twoje cierpienie szczególnie mnie wzrusza. Jesteś dzika. Nie umiesz się nawet dziwić, jak nie dziwią się zwierzęta. Jesteś, niby dziecko, bez winy. Ty rzucisz się na mnie pierwsza, żeby zabić. Gdybym miał przed sobą dzień życia...

MENADA: Gdybyś miał przed sobą dzień życia...

ORFEUSZ: Tobie powierzyłbym moją mądrość, moją sławę, moją nieśmiertelność.

MENADA: Co to jest nieśmiertelność? Po co mi? Czy to odurzający napój? Czy tanie z obcych stron? Czy nowy wróg?

ORFEUSZ: Nowy wróg, Aglae, którego nie zwyciężysz.

MENADA: Nie rozumiem. Jestem znużona.

ORFEUSZ: Wszystkie jesteście znużone. Powiem wam lepiej bajkę.

MENADA: Wesołą?

ORFEUSZ: Ha ha, wesołą i troszkę podstępna. Bajkę o piekle. Znakomita, zobaczycie. Zapomniałyście? Byłem przecież? jedyny z śmiertelnych – za życia z wizytą w Hadesie. To coś znaczy. Cerber, Charon, wielki porządek, a jakże – karność. Diabły mają swoje przydziały, resorty. A najzabawniejszy jest Hermes. Nagania biedne duszyczki do swej łodzi i wiecie, co im deklamuje?

Dusze znakomite i rozważne, oto miejsce,
gdzie dane wam będzie zaspokojenie szlachetne
ciekawości, co matką jest mędrców.

A z jakim przejęciem on to gada, ten cynik! I popycha oszołomione i zahukane widziadła szewców, powroźników, złodziei i straganiarek, które nigdy za życia nie zaznały ciekawości, co jest matką mędrców i którym tak dobrze było w pocziwych, kaprawych powłokach cielesnych. To się nazywa uszczęśliwiać przemocą!

MENADA: Byłeś u Persefony?

ORFEUSZ: Rozumie się. U Persefony, królowej piekieł. Gdy ujrzałem ją, wydawała się roztargniona. Cesała włosy i namaszczała je tłuszczem. Powiedziała:

PERSEFONA: Wiesz, mam żal do mojej matki. Nie umiem rozpaczać. Nie powinno się wydawać za mąż córek, które nie umieją rozpaczać.

ORFEUSZ: Ależ Persefona – czy nie pamiętasz, że zostałam podstępem porwana przez Plutona? Matka... jej wielkie smartwienie... o tym wszyscy wiedzą.

PERSEFONA: Tak, to jeszcze nie było najgorsze. Pamiętam tę łąkę, jasną jak lustro, to niebo rozpędzone. I cień własnego ciała koło nóg, gdy schyliłam się by zerwać kwiat. Z początku było jako tako. Płakałam wśród ścian okopconych i wilgotnych. Westchnienia ludzkie osiadały na nich jak dym. Nikt nie jest w stanie tego odczyścić. Z pułapu promieniowały blade żółwie, olbrzymie jaszczurki syczały ciężko. To było drażniące. Litowałam się nad każdą duszą, wydawałam surowe wyroki, obowiązujące przez wieczność. Syzyfa tak skazałam i kilku innych. Patrzyłam porozumiewawczo na Plutona. *(śmieje się)* Nie było nudno w tej jaskini. Wszystko dokoła przerażało. Wielkie nieszczęścia, wyszukane grzechy. Rozpaczałam dnie i noce. Pluton ogarniał mnie ramieniem, mówił:

PLUTON: Przywykniesz, przywykniesz, dzieciно...

PERSEFONA: Ach, był zawsze podrażniony. Zrywał się – taki miał nerwowy krok – odchodził do miejsca najstraszniejszych kar. Z brwią nawisłą palił tam grzeszników na wolnym ogniu. Słyszałam jęki. On śmiał się czasami, zrzucił z siebie szaty. Piekło było mu za małe.

PLUTON: Piekło jest dla mnie za małe, Persefona. Duszę się. Och, gołąbko, nic na to nie poradzisz, to są sprawy za wiłe. Klimat, widzisz, nie służy mi, duszno, niby w łaźni i pochmurno. Uf, jestem spocony! Czerwony jak od wina, a przecież nie piję. Ogień mnie upija – ha ha, ogień, w którym duszyczki skwierczą. Och, ciężkie życie.

PERSEFONA: Patrzyłam z odrazą. Schylał szpetne czoło, śmiał się znowu. Taką twarz ma może Nemezis. Potem, gdy byliśmy sami, ocierałam mu z czoła pot i łzy. Gardziłam sobą. Ach, jak mnie wzruszała taka łaza, znaleziona w kącie jego krwawego oka. Wybiegałam w gaje cyprysowe, darłam szaty wśród trzody głupich duchów, apatycznych jak obrazki. Uspokojona, długo jeszcze przeklinałam Ananke, co każe grzeszyć i cierpieć.

ORFEUSZ: Tu Persefona umilkła. Światło podniecenia znikło z jej twarzy. Po chwili rzekła smutno:

PERSEFONA: Orfeuszu, nie mów nikomu. To najstraszniejszy grzech. Przyzwyczaiałam się do piekła. Zaczynam tyć. Ciało moje robi się tłuście, świeci. Pluton mówi, że jestem coraz piękniejsza.

PLUTON: Rozkwitasz, moja żono. Te bransolety – jak one błyszczą na twych pociemniałych rękach. Piekelnicy wodzą za tobą ślepiami. Ha ha, ładna jesteś.

PERSEFONA: Zakopcone ogniem piekielnym bransolety przystrajają mnie, niby niewinne kwiaty z ziemskich łąk. Posiadam przeciągły wdzięk, jaki mają kobiety, lubiące patrzeć w lustro. *(lekko)* Potrafię być nawet dowcipna, stroję się. Widzisz – toalety piekielne.

ORFEUSZ: W istocie – dosyć oryginalne.

PERSEFONA: Popatrz na to lustro. Świeci, prawda? Wypolerował je dla mnie Charon. Jęczy po nocach koło swojej łodzi nad rzeką. Obrzydliwy potwór. Pluton nie każe mu dawać nigdy dużo jeść, żeby warczał na cienie, rozumiesz, żeby się bały. Warczy z głodu jak pies. Tylko do mnie łaśi się ta poczwara.

ORFEUSZ: Piękne zwierciadło.

PERSEFONA: Widzisz, rękojeść rzeźbiona w dwa smoki. Gryzą się delikatnie jakby igrały. I patrzą na siebie ślepią w ślepią. Czego to może być symbolem? Mniejsza z tym. Aż dziw, że ten potwór umie zrobić takie rzeczy.

ORFEUSZ: Może dlatego, że nigdy nie daje mu się do syta jeść.

PERSEFONA: *(lekko)* Może. *(posępnie)* Patrę w lustro godzinami.

ORFEUSZ: Czemu płaczesz Persefona?

PERSEFONA: Jaki wstyd. I gdzie jest kara. Kto wymierzy mi sprawiedliwość? To jedno mogłoby ocalić duszę moją, grzeszniejszą od duszy Syzyfa i duszy Tantała i tych biednych królewien Danaid, które sama skazałam...

Pauza; muzyka

ORFEUSZ: Nie byłem zdolny jej pocieszyć. Splotła dłonie na karku, patrzyła wyzywająco i chmurnie. Małeńki, pękaty piesek, małeńki szafranowy potworek przypętlł i lizał jej nogę. Siarka ciekła mu z opasłego pyska. Leżała długo gryząc figę, wyciągnięta wśród swych strojów jak odaliska. Wtedy powiedziałem:
– Persefona...

PERSEFONA: Persefona... Jakoś inaczej niż dotąd zabrzmiało moje imię w twych ustach.

ORFEUSZ: Mówię głosem człowieka, który prosi o łaskę.

PERSEFONA: O łaskę królowej zmarłych...

ORFEUSZ: Czy wiesz, po co przyszedłem?

PERSEFONA: Wiem. Każde dziecko greckie zna tę bajkę. *(z lekkim patosem, niby opowiadając)* Sławny poeta Orfeusz

tak kochał żonę swą, Eurydykę, że nie uląkł się Cerbera i jedyny z żyjących zstąpił do Hadesu. Kiedy stanął w obliczu królowej Tartaru, zamiótł ziemię połą płaszcz, jaki noszą Trakowie...

ORFEUSZ: Nie mam płaszcz.

PERSEFONA: Nie szkodzi. Zamiótł ziemię połą płaszcz i zawołał głosem, który uśmierza lwy –

ORFEUSZ: Cóż zawołał?

PERSEFONA:

Persefono, królowo za siedmiorgiem zielonych drzwi,
Persefono, królowo za siedmiorgiem zielonych pieczęci,
Persefono, królowo za siedmiorgiem zielonych świec.

ORFEUSZ: Tedy królowa rzekła: – Czego żądasz, Orfeuszu?

PERSEFONA: Żony mojej, Eurydyki – powiedział Orfeusz. A królowa zaśmiała się.

ORFEUSZ: Czemu śmiejesz się, królowo?

PERSEFONA: To uśmiech podstępny, poeto. W złych czasach przyszedłeś. Pani piekieł nudzi się.

ORFEUSZ: Śmiertelni ją nudzą?

PERSEFONA: Nie.

ORFEUSZ: Nieśmiertelni?

PERSEFONA: Nie.

ORFEUSZ: Nudzi się sam sobą. To nieuleczalne.

PERSEFONA: Nie jesteś uprzejmy.

ORFEUSZ: Nie jestem uprzejmy. Uprzejmi ludzie nie składają za życia wizyt w Hadesie. Skończ, królowo, bajkę dla greckich dzieci.

PERSEFONA: O! skończy ją kto inny. Ja odegram tylko swoją rolę i powiem:
– Orfeuszu, królowa zmarłych, wzruszona twą wielką miłością, oddaje ci małżonkę...

Pauza; muzyka

ORFEUSZ: Tak tedy poszedłem na łąkę anemonów, gdzie siedziała Eurydyka w towarzystwie Alkmeny i dwu sióstr Orestesa. Ach, jak była zmieniona! Ruchy ciała miała podobne do łez płynących, lica nieopisane. W rękę trzymała kądziel. Gdy ją ujrzałem, trochę dęsała się, targała paluszkami w złości żółtawe nitki. Wyznawała mi w tajemnicy:

EURYDYKA: Ona są okropne. Niedawno tu przyszły i tak mocno poruszają się, cierpią, śmieją. O, widzisz tam tę roz-

rosłą brunatną dziewczynę? To Elektra – kiwa się po całych dniach w rosochatym wieńcu na głowie, dumna ze swojej boleści jak z kosza dobrze wypranej bielizny. A Alkmena ciągle śpiewa.

ORFEUSZ: Nie myśl o nich, moja słodka żono. Zabiorę cię stąd. Uśmiechnij się. Pomówimy o innych sprawach. Pamiętaj dom rodziców, kiedy byłeś jeszcze mała?

EURYDYKA: (*sennie*) Dom rodziców...

ORFEUSZ: Tak. To okno od wschodu, zawsze na nim stały doniczki z kwiatami, a pod oknem ławeczka, pamiętasz?

EURYDYKA: (*z chwilowym ożywieniem*) Ławeczka! A tak, tak!

ORFEUSZ: Kłóciłyście się z siostrą, która na niej usiadzie. A ty byłeś straszna złoźnica, kopałaś i drapałaś, a potem buch! i już jej nie ma. Uciekła do pastucha, do bydła. Raz wtedy spotkałem cię na łące jak strzygli owce i mówię: Wstyd, taka duża panna zamorusana i obdarta jak znajda. A ty? ha! ha!? odpowiedziałaś mi bardzo nieuprzejmie. Coś takiego, że wstyd powtarzać...

EURYDYKA: Więc po co powtarzasz? To już tak dawno.

ORFEUSZ: Nie, bo byłeś taka śmieszna. Ja nawet nie wiem jak w domu ci pozwalali. Potem dopiero zmieniłaś się, wydorosłaś. Zrobiłaś się taka strojnisia – ha, ha...

EURYDYKA: O kim mówisz?

ORFEUSZ: Przecież o tobie.

EURYDYKA: Nie pamiętam.

ORFEUSZ: A pamiętasz morze? Niedaleko domu. Żeglarze czasem śpiewali mijając brzegi. Różni żeglarze. Czasem śpiewali w obcym języku – jacyś barbarzyńcy. Wrócimy tam, chcesz?

EURYDYKA: Dokąd?

ORFEUSZ: Na ziemię, moja słodka Eurydyko.

EURYDYKA: To długa droga...

Pauza

ORFEUSZ: Darujcie, menady, że skrócę opowieść, choć to przybliży mi zgon. Była ciągle senna, gdy wiodłem ją drżynymi korytarzami ku światłu słońca, gdy stąpaliśmy powoli, a jaskinie piekielnie migotały, diabły piekielnie jęczały. Ach, cóż więcej mam mówić. U wejścia stał Cerber, pies trzygłowy. Pytał o imię. Ale ona milczała. Kiedy nalegałem, skrzywiła usteczka:

EURYDYKA: Nie mogę powiedzieć dokładnie. To wszystko jedno. Nie męcz mnie.

ORFEUSZ: A kiedy groziłem, jak się grozi niedobremu dziecku, zaśmiała się z przekorą.

EURYDYKA: Ja się niczego nie boję. Przecież już nie umrę.

ORFEUSZ: Ach, czemu powiedziała takie słowa. To był wyrok. Zaraz podszedł do niej Hermes. Nie zdziwiła się wcale, kiedy dotknął jej ręki na znak, że zostaje w Hadesie. Nie spłoszyła się, zbyt łagodny miał uśmiech. Odeszli razem. Próbowwała tańczyć po drodze. Podnosiła ręce bardzo powoli. To było smutne. Kiedy zawołałem ją po imieniu, jak się woła gołębicę, odwróciła się i powiedziała:

EURYDYKA: Bądź zdrow.

ORFEUSZ: Zdawało mi się, że nie rozumiała tego wszystkiego, nie widziała mojej boleści. Była jakby za szybą. Umarli są tacy delikatni, lżejsi od nas. Odeszła uśmiechając się. Oto moja opowieść, menady.

Pauza, muzyka

MENADA: Menady usnęły.

ORFEUSZ: Śpią jak dzieci. Dopiero teraz widać, jak są jednak podobne do zwykłych kobiet. Teraz, gdy oczy mają zamknięte. Gdyby nie kozia skóra na prawej piersi, gdyby nie wieniec bluszczu na splątanych kudłach... Ciekaw jestem snów menad.

MENADA: Nie mamy snów. Nie zasypiamy nigdy. To pierwszy raz. To ty jedyne zdołałeś je uspić, pogromco panter.

ORFEUSZ: Ciebie nie uspiłem.

MENADA: Mnie nie.

ORFEUSZ: Czemu?

MENADA: Jak one mocno śpią. Można by przejść wśród tych ciał, jak przez pobożowisko, nie zbudziwszy nikogo. Krok – i byłbyś wolny. Czuję twoją wolność w powietrzu. Powietrze płonie od jej zapachu. To noc pokoju. Czy słyszysz jak gadają strumienie? Niby dzieci w kolebkach. Cała natura oddycha dobrocią. Nie wierzę w wyroki Ananke. Żadna zła rzecz nie stanie się tej nocy. Pojednanie... oswo-bodzenie. Coś osobliwie łagodnego zniża się od gwiazd.

ORFEUSZ: W istocie. Coś najbardziej łagodnego.

MENADA: Niby ogień przezroczysty, będący zarazem muzyką, żywioł czuły i cenny jak serce w piersiach, radość niematerialna.

ORFEUSZ: Ha, ha, Aglae, Aglae!

MENADA: Co?

ORFEUSZ: Przecież ty śpiewasz o śmierci.

MENADA: Ja?

ORFEUSZ: Gdybyś mogła słyszeć swój głos. Takim głosem mówi człowiek, który pragnie i czuje bliskie spełnienie pragnienia. Ty pragniesz zabić.

MENADA: Pragnę zabić.

ORFEUSZ: Ciebie jednej mój czar nie uspił. Jakżebym mógł uciec. Ty przecież czuwasz. Nie darmo przez te kilka godzin pokochałem cię ponad wszystkie stworzenia. Ty jesteś najdziksza. Jedyna z ludzi i zwierząt, której nie zwyciężyłem.

MENADA: Orfeuszu...

ORFEUSZ: Niebo niedługo zblednie, Aglae. Obudź menady, już czas. Ananke rzekła, że umrę przed wschodem słońca.

MENADA: Orfeuszu...

ORFEUSZ: Weź bęben, uderz w wielki bęben, zawołaj?

MENADA: Zawołam.

(szepem) Siostry moje, menady, siostry moje, menady, siostry moje, menady...

■ **Anna Świrszczyńska**

Anna Świrszczyńska (1909-1984), poetka, dramatopisarka. Debiutowała w 1930 na łamach tygodnika „Bluszcz”. W 1931 ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Podczas okupacji niemieckiej brała czynny udział w życiu literackim, była nagradzana na tajnych konkursach. W czasie walk powstańczych, jak i podczas kampanii wrześniowej, pracowała ochotniczo jako salowa i pielęgniarka w warszawskich szpitalach.

Po wojnie osiadła w Krakowie, w 1946-1950 kierownik literacki Teatru Młodego Widza. Pisała utwory dla dzieci, sztuki dla dorosłych. Wydała 10 tomów wierszy.

Opublikowała zbiory poezji, m.in.: „Wiersze i proza” (1936), „Liryki zebrane” (1958), „Jestem baba” (1972), „Budowałam barykadę” (1974), pośmiertnie wydano „Cierpienie i radość” (1985), dramaty: „Orfeusz” (1947), „Teatr poetycki” (1984), a także liczne utwory dla dzieci i młodzieży.

„Śmierć Orfeusza” to scenariusz słuchowiska radiowego zrealizowanego przed wojną w reżyserii Edmunda Wiercińskiego. Dwunastostronicowy maszynopis słuchowiska znajduje się w zbiorach specjalnych Instytutu Sztuki w Warszawie, w archiwum Edmunda i Marii Wiercińskich (nr inwentarza 1209, teczka 123). Śmierć Orfeusza została przez Świrszczyńską rozwinięta do dramatu Orfeusz, który zdobył II nagrodę w podziemnym konkursie dramatycznym w 1943 r. i był ze znacznymi zmianami w tekście wydany tuż po wojnie (1947 r.)

Do druku podał Dominik Sulej za uprzejmą zgodą dyrektora Instytutu Sztuki PAN – prof. dr. hab. Lecha Sokola.

Maria Szczepankowska

Dzieci pamięci

Brak słów
Bywa uczciwszy
Niż ich kolorowy nadmiar
Który szybko płowieje
W zderzeniu z prawdą
A jednak są słowa
Które znaczą dla mnie więcej
Niż dotyk chwili
Co umiera w ciszy

Te słowa
To dzieci pamięci
Których się nigdy nie wyrzeknę
I kocham je wszystkie
Nawet te nieposłuszne
Gdy bolą
Nagłą zdradą albo lekkomyślnością

Są wszystkie moje
I zawsze młodsze
Od doświadczenia
Zbuntowane i pomysłowe
Walczą z ciszą
Która bez Ciebie jest nieuczciwa

Spotkanie

Odpowiedź dłoni
Wpisana na listę wieczności
Zielonym piórem nadziei
Miękką obecność chwili
W architekturze mijającego dnia

Między nami

Pejzaże ciszy
Zmieniają barwę
Od lęku do czekania
Zobaczyłam
Ile słów nie powiedziałeś
By kolory wzruszeń
Które oglądam przed zaśnięciem
Były zielonym lasem pamięci

Przed nami
Tyle niepewności
Ile słów
Których nie wypowiemy
Nawet w ciszy

Ocean wzruszeń

Na dnie oceanu wzruszeń
Mieszkają myśli
Które wyłowione
Na powierzchnię życia
Umierają
Ich istnienie
Umożliwia głębia doznań
Niedostępna ludzkim oczom ani uszom

Niektórzy próbują je podglądać
Nurkują aż do wnętrza uczuć
By złowić choć jedno pragnienie
Obejrzeć je dokładnie i opisać
Językiem bólu i nadziei

Niestety podjęta próba
Oznacza tęsknotę do następnych
Równie daremnych usiłowań
By uratować
Bodaj tę łzę, co utonęła dzisiaj
W oceanie wzruszeń

Dlatego pozwól
BY Twoje myśli
Mieszkały właśnie tam
Gdzie czują się wolne

Hip hop – hurraaa?

Obserwacje z marginesu pewnej kultury

Magdalena Saganiak

Stacja I – etap przedhistoryczny

Kiedyś, nie pamiętam, jak dawno temu, wpadły mi w oko ostro zakończone litery. Widniały – nakreślone na tej i owej ścianie – wśród puszek po piwie, zmiętych plastikowych torebek, rozjechanych trawników i chodników, wielgachnych tablic reklamowych i parkujących wszędzie brudnych samochodów. Potem widywałam je coraz częściej. W różnych miejscach postrzegałam grupki chłopców: z ogolonymi głowami, odzianych w spodnie ze zwisającym krokiem, adidas, kurtki i czapki z długim daszkiem. Z dochodzących do mnie strzępów rozmów wnioskowałam, że nudzą się potężnie i jak kania dżdżu pragną czegośkolwiek, co jakkolwiek by ich poruszyło. Widywałam też grupki młodzieży z długimi włosami, odzianych w koszule flanelowe i swetry, a pojedynczo lub w samochodach – innych, ubranych w garnitury, z teczkami.

Wielokrotnie słyszałam z przejeżdżających samochodów tępe potężne dźwięki, przypominające podziemne wybuchy atomowe. Kiedyś później uderzyły mnie w ucho inne miarowe łupania, cichsze od tamtych, zmieszane ze słowami, których nigdy nie używam. Ktoś mi powiedział, że to rap. Słuchałam go kilka minut. Rytm ten ledwo się wyróżnił z tła hałasu miasta i kafeofonii docierających zewsząd splątanych strumieni słów. Wzbudził we mnie zainteresowanie jako sztuka jakoś poruszająca aktualne polskie problemy, dla których na razie nikt nie znalazł formy artystycznej.

Stosunkowo niedawno zobaczyłam przez szybę autobusu krajobraz podrapany czymś ostrym po szkle. Teraz widuję go częściej.

Stacja II

Dowiedziałam się, że jeden ze studentów – Adam Roguski – pisze pracę magisterską o języku hiphopu. Na razie była to dla mnie pusta nazwa. Kojarzyłam ją niejasno z zasłyszaną kiedyś muzyką i jakąś modą w kulturze masowej. Kiedy hiphop został wybrany tematem jednego ze spotkań Koła Literackiego, jego animacji podjął się Adam Roguski.

Stacja III

Na spotkaniu objawił się Janek, wykonawca muzyki hiphopu i – jak się okazało – jej znawca. Umiarkowaną pasjonatką hiphopu okazała się jedna z najzdolniejszych studentek polonistyki UKSW: Monika Paszkowska, skądinąd absolwentka filozofii i oryginalna poetka. Rok temu zachwyciła się razem z innymi członkami naszego Koła „Pająk według Św. Jana” J.S. Bacha, wykonaną w Teatrze Wielkim przez Collegium Vocale Gent pod dyrekcją wytrawnego znawcy muzyki dawnej Philippa Herreweghe.

Adam Roguski powiedział:

„Wbrew rozpowszechnionym opiniom hiphop nie jest tylko stylem w muzyce, lecz kulturą. Składają się na nią:

- muzyka: rap i DJ-ing (tu podałeś definicję)
- graffiti (tu druga definicja)
- breakdance (akrobatyczny taniec) (definicja) (nikt nie chciał mi go zademonstrować)”.

Stacja IV

Z chaosu, jakim – przyznaję bez poczucia wyższości, ale też i bez zażenowania – jest dla mnie kultura masowa, wyłoniły się i połączyły w całość elementy, które dotąd widziałam zupełnie nie powiązane.

Przedtem myślałam, że to jakaś dzieciarnia bawi się pisząc po murach, wykorzystując wzory z komiksów (najwidoczniej jedyne dostępne tym dzieciom przedmioty sztuki). Napisy rylcem na szybach pojmowałam jako popisy jakichś wandalów, którzy znudzili się cięciem siedzeń w autobusach.

Rap przyjmowałam jako jeden z tysięcy wzorców możliwych do realizacji w muzyce. Ponieważ słucham dźwięków zorganizowanych w różny sposób: od chorału gregoriańskiego, przez barokowy kontrapunkt, po dodekafonię i minimalizm, a także jazz, blues, gospel, flamenco itp., ja coś zaistniał dla mnie i rap. Dotarł do mnie jako śpiew ludzi zdeterminowanych i nastawionych krytycznie. Za to rap cenię, bo poważam każdą formę zorganizowanej refleksji, choćby nawet tak zorganizowanej.

Na wulgarność reaguję odruchowo fizycznym wstrętem, podobnym do trudnego do opanowania odruchu na widok ekskrementów. Wulgaryzacja języka jest jednak czymś tak powszechnym, że pojawienie się jej w tekstach muzycznych przyjmowałam po prostu jako ekspansję choroby języka na nowy obszar.

Akrobatycznego tańca nigdy nie widziałam.

Stacja V

Teraz dowiedziałam się, że te trzy elementy składają się na kulturę.

Przyznaję od razu: zaczęłam życzliwie przyglądać się „kulturze” (pozwólcie mi pisać to słowo jednak w cudzysłowie) hiphopu tylko ze względu na sympatię i zaufanie do osób, które ją wobec mnie zaprezentowały. Nadto zjawisko mnie zainteresowało, ponieważ jest dość powszechne i stale się rozszerza. Człowiek, który ma cokolwiek wspólnego z nauką, nie może się obrażać na fakty. Zadaniem człowieka nauki jest fakty zbadać, zrozumieć, opisać, a jeśli trzeba – na nie zareagować.

Żarliwa wymowa Janka wywarła na mnie znaczne wrażenie.

Ukazał on hip-hop jako autentyczną sztukę, w której odnajdują tożsamość masy zagubionej młodzieży bez przyszłości i bez szans. Hip-hop miałby dla nich być sposobem ekspresji i refleksji. „W hiphopie można powiedzieć wszystko” – przekonywał – „Hip-hop jest o wszystkim i dla wszystkich. Jest otwarty.”

„Istnieje etos hip-hopu. Pierwszym warunkiem jego uprawiania jest bezinteresowność. To nie jest komercja” – usłyszałam, przyznaję, z pewnym zdziwieniem. „Sznuje się prywatną własność. Proszę zwrócić uwagę, że nikt nie pisze na prywatnych domach i samochodach” (To prawda, uświadomiłam sobie, ale jakże gorzka.) Okazało się, że hip-hop ma także swoich bohaterów, legendarnych założycieli czy świętych. „Na najśfynniejszej ścianie” – powiedział nasz znawca – „na murze wokół toru wyścigów konnych – nikt nigdy nie zamaluje portretu legendarnego rapera (tu padło nazwisko), zabitego w porachunkach gangów.”

Janek okazał się znakomitym informatorem. Będąc silnie powiązany z ruchem, umiał opisać go obiektywnie z zewnątrz. Afirmując całe zjawisko, widział dokładnie jego wady. Dowiedzieliśmy się, że hip-hop wytwarza silne więzi (ale też silne animozje pomiędzy poszczególnymi grupami), że związki hip-hopu z grupami przestępczymi nie są cechą samego hip-hopu (niektórzy wykonawcy wywodzą się po prostu z takich środowisk lub mają z nimi związki), że hip-hop jest zasadniczo przeciwny perwersji seksualnej. Janek przedstawił hip-hop jako szansę moralnego i społecznego awansu dla ludzi wypchniętych na margines społeczeństwa. Zamiast stać przed blokiem i szukać okazji do zadymy, można zająć się formułowaniem jakichś myśli, śpiewem, nagraniem itp. Wyznał, że hip-hop był jego życiową szansą, dzięki niemu wydobył się z poważnych kłopotów.

Nie kwestionując roli hip-hopu w osobistym rozwoju Janka, inni uczestnicy spotkania powątpiewali, czy rzeczywiście ruch ten wszystkich – tak jak jego – wynosi ku myślom szlachetniejszym. Zapytany wprost, Janek, bardzo nie-

chętnie, jak dziecko, które ma powiedzieć coś złego o ukochanej matce, przyznał że hip-hop nie jest wyłącznie kolebką zdrowego myślenia i moralności.

Zaprezentowano nam parę nagrań i parę teledysków, polskich i amerykańskich. Monika Paszkowska zachwalała polski hip-hop jako bardziej złożony myślowo od amerykańskiego. Podobnie jak Janek, podkreślała, że polski hip-hop ma inny charakter, jest czynnikiem scalającym społeczności. W teledyskach pojawiają się dzieci i osoby leciwe, które włączają się w niewymuszoną, wesołą zabawę ze wszystkimi.

Stacja VI

Kiedy dowiedziałam się jeszcze, że hip-hop narodził się około 30 lat temu w Stanach i wywodzi się z imprez w klubach, w których disk-jokeje prezentowali różną muzykę, wiążąc ją okolicznościowym skandowanym komentarzem, zaczęłam słuchać bardzo pilnie. Rzadko kiedy można zaobserwować początki jakiegoś gatunku w sztuce. Zwykle giną one w pomroce dziejów. A tu na naszych oczach rodzi się prąd, którego wszystkie elementy widoczne są jak na dłoni, bo – wedle mojej oceny – znajduje się jeszcze w pierwotnym stadium, wytwarzając formy mało skomplikowane.

Po wysłuchaniu kilkunastu utworów, nagranych, a także wykonanych na żywo, stałam się zdolna do wstępnego opisu rapu od strony wersyfikacyjnej i muzycznej.

Rap jest rodzajem rytmicznego skandowania, przypominającego trochę recytatyw. Jest jednak wyraźniej akcentowany, a głos porusza się w mniejszej skali. Podstawę rytmiczną tworzy mechaniczny podkład z komputera, rzadziej – jak dowiedziałam się – żywej perkusji.

Wszystkie cechy rapu wskazują na jego pierwotność, chciałoby się rzec: archaiczność.

Wers obejmuje zwykle jedno zdanie, zakończone niedokładnym rymem, powtórzonym wielokrotnie, jak w średniowiecznym wierszu zdaniowym. Są i rymy w nagłosie, jak w poezji starogermańskiej. Wers rozpada się na grupy sylab, tak lub inaczej akcentowane, jak w poezji starogreckiej. Wiersz przeznaczony jest do wykonania z muzyką, jak w każdej archaicznej literaturze, i jak w poezji ludowej. Nie ulega wątpliwości: mamy do czynienia z bardzo młodą sztuką, która ponownie wynalazła i zastosowała pewne archaiczne formy, już gdzieś kiedyś na początku istniejące.

Zgodnie z prawem rozwoju wszelkich form sztuki za kilka lat rap albo sam się wewnętrznie skomplikuje, albo rozpadnie, albo wzbogaci o inne prądy. Może z hip-hopu narodzi się nowy system wersyfikacyjny polszczyzny, który znajdzie swoje miejsce obok królującego dziś bezrymowego i pozbawionego rytmu wiersza wolnego?

Co do warstwy słownej tekstu, to język hip-hopu obfituje w wulgaryzmy i ma wiele wspólnego z gwarą przestępczą, która najbardziej zdradza jego ponure pokrewieństwo.

Stacja VII

Odbyłoby się drugie spotkanie poświęcone hip-hopowi, na które przyszło kilka osób nie zrzeszonych w Kole, między innymi licealistka, siostra jednej ze studentek, całym

sercem i rozumem pogrążona w tym nurcie. Rozmowa, której kierunku nikt nie starał się rygorystycznie wyznaczać, potraçała o różne sprawy, odkrywając przede mną coraz to nowe obszary mentalności hiphopu, w formie czystej prezentowanej w dziewczęcym umyśle najmłodszej uczestniczki spotkania.

Zadano mi, w niedużym odstępie czasu, dwa pytania zasadnicze:

„Po co na filologii polskiej UKSW (i innych) uczy się np. o średniowieczu?”

„Czemu na polonistyce omawia się różne wiersze, zamiast analizować hiphop?”

Kiedy, usiłując na te pytania odpowiedzieć, użyłam paru terminów, powszechnie używanych w antropologii, jedna z obecnych osób powiedziała:

„Pani, jak widzę, wszystko wślacza w swoje schemaciki.”

Potem inna (a może ta sama?) osoba z przekonaniem powiedziała:

„Na podwórku, pomiędzy trzepakiem a śmietnikiem więcej można się dowiedzieć o życiu niż na uniwersytecie.” (Pracownik uniwersytetu, specjalista od średniowiecza, któremu przytoczyłam tę wypowiedź, zapytał: „A czy pomiędzy trzepakiem a śmietnikiem wiedzą, ile kosztuje tona złomu, albo ile kosztuje wywóz śmieci? Bo ja to wiem.”)

W końcu padło pytanie trzecie:

„Dlaczego przedstawiciele tzw. kultury wysokiej są nietolerancyjni i nie chcą uznać hiphopu jako równorzędnej kultury? Dlaczego nie starają się nas zrozumieć?”

Stacja VIII

Kilkoro uczestników spotkania, starając się nie urazić kuczyć nikogo z obecnych, podjęło trud odpowiedzi na trzy podstawowe pytania. Mówiono, że tzw. kultura wysoka dysponuje tym wszystkim, czym dysponuje hiphop (wytwarza etos, dostarcza propozycji światopoglądowych, dostarcza wzorców wyrażania uczuć i myśli, jednoczy społeczność), a jest całością nieporównanie bogatszą.

Dlatego można hiphop rozumieć, a mimo to go odrzucać.

Dla mnie i dla wielu uczestników spotkania było jasne, że hiphop nie jest w pełnym znaczeniu tego słowa kulturą, a jedynie jedną z subkultur młodzieżowych, stosunkowo mało złożoną, znacznie mniej na przykład niż pierwsza masowa subkultura młodzieżowa: ruch hippisowski.

Kultura jako taka jest bowiem czymś niepomierne bardziej rozległym i skomplikowanym. Organizuje całość życia społeczności, reguluje wszystkie stosunki: od wytwarzania dóbr, ich podziału i konsumpcji, od budowy domostw, obyczajów związanych z jedzeniem, wydalaniem i myciem, przez sposób zakładania rodziny, regulowania popędu płciowego, wychowania potomstwa, po obrządki związane z narodzinami, pogrzebem i wierzenia dotyczące losów człowieka po śmierci. Obejmuje też wiedzę o świecie, wierzenia religijne i formy sztuki. Jest nadto zespołem reguł przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Dlatego z sensem można mówić o tradycyjnej kulturze ludowej, np. Łemków albo Kaszubów, ale nie można z sensem mówić o kulturze hiphopu, która takich form jeszcze nie wytworzyła.

Żadna z subkultur młodzieżowych, istniejących dzisiaj, nie jest zdolna do samodzielnego istnienia. Na przykład prawie wszystkie twory hiphopu – oprócz rymowania – są czymś wtórnym, wykorzystującym istniejące urządzenia innej kultury. Beat jest brany z komputera (ale kultura hiphopu sama nie wytwarza komputerów), scratch bierze się z płyt, którymi obraca się po gramofonie nie tak, żeby słycać było muzykę, ale tak, żeby słycać było skrzyp i jęk (ale kultura hiphopu sama nie wytwarza płyt i gramofonów). Kultura hiphopu nie wytwarza też żadnych dóbr materialnych, żywności, ubrań itp. Wszystkie jej czynności zależą technicznie od kultury, którą chciałaby znieść. Nawet ściany buduje i tynkuje ktoś inny. Żeby zaś stały ściany i żeby produkowano komputery oraz spraye do malowania, muszą istnieć szkoły i uniwersytety.

Stacja IX

Nie chcę urazić Janka, którego postawę i wysiłki szanuję. Nie chcę urazić innych entuzjastów hiphopu. Nie kwestionuję faktu, że dla pewnych kręgów młodzieży hiphop może stać się szalupą ratunkową, która pozwoli im wypłynąć na powierzchnię z marazmu, bezmyślnej kontestacji, szarżyzny i nudy jałowej egzystencji między przystoiowym trzepakiem a śmietnikiem. Nie ulega wątpliwości, że dla ludzi twórczych każda forma sztuki, nawet mniej złożona, może stać się narzędziem ekspresji i wzrostu samoświadomości. Jest dla mnie jasne, że ma wielką wartość wszelkie naturalne dążenie do zorganizowanej refleksji, o czym już mówiłam.

Hiphop jest polem dość szerokim, aby człowiek dążący do czegoś szlachetniejszego znalazł na nim swoją ścieżkę. Jednak budzi też najwyższy niepokój.

Przed wszystkim hiphop ma wszelkie cechy zamkniętej (wbrew temu, co mówią jego wyznawcy o otwarciu), skrajnie nietolerancyjnej subkultury, narzucającej swoim członkom bardzo ograniczony repertuar zachowań. Widać to chociażby po bardzo podobnych ubraniach, małym repertuarze wzorców muzycznych i rozrywek, po używanym wewnątrz ruchu specjalnym żargonie. Za silne wewnętrzne więzi w grupie płaci się bardzo wysoką cenę: rywalizacją między zorganizowanymi grupami, porachunkami, do zabójstw włącznie. Za sztuczny wspólny język płaci się również drogą: izolacją od reszty społeczeństwa, posługującego się kodem bardziej złożonym. Żargon hiphopowy jest groźny także dlatego, że ogranicza zdolność rozumienia literackiej polszczyzny, której każde słowo obrosło głębokimi znaczeniami, ponieważ wielokrotnie użyto go w nasyconym sensem i emocją wierszu, fragmencie prozy, tekście naukowym. Bardzo groźne jest powiązanie ze środowiskami przestępczymi, bez względu na przyczyny tego powiązania.

Komfort przebywania wśród ludzi, którzy myślą bardzo podobnie i wszystko już wiedzą, uważam za najgroźniejszy i najbardziej destrukcyjny element hiphopu.

Stacja X

Hiphop nie jest jedyną subkulturą, w której młodzi ludzie poszukują (rozpaczliwie) swojej tożsamości. Znaj-



Na bladobłękitnych ścianach Domu Kultury wykonano liczne graffiti, spod których nie widać już rysunku płaskorzeźby. Fot. Magdalena Saganiak.

dują ją, jak im się zdaje, przez odcięcie się od kultury „wysokiej” oraz od innych subkultur.

Interesuje mnie mentalność, jaka prowadzi do negacji kultury, która nam – ludziom Europy – pomagała żyć przez tysiące lat.

Mentalność tę opiszę jako świadomość blokera, której nie łączę bezpośrednio ani z hip-hopem, ani z inną subkulturą. Pozostawiam na razie na boku problem, skąd taka mentalność się bierze, próbując jedynie uchwycić główne jej rysy.

Mentalność, z której wynika odrzucenie kultury tzw. „wysokiej”, uważam za typowy przykład fałszywej świadomości. Bardzo przypomina mi sposób myślenia części czarnoskórych mieszkańców USA, którzy do dziś patrzą na świat białego człowieka oczami swoich zniewolonych i znieważonych przodków: jak na własność plantatora, dla której nie warto pracować, z której należy korzystać, jak się da, i którą można niszczyć. Wielu młodych ludzi z Harlemu chodzi do szkół, ale wszelkimi siłami stara się w nich niczego nie nauczyć. Przeciętny nastolatek z murzyńskiej dzielnicy słabo umie czytać i pisać, może nawet być analfabetą. Sądzę, że jest to forma dzieciennego protestu przeciwko uciskowi białego człowieka.

Grupy kontestującej młodzieży mają podobną świadomość. Rolę mitycznych przodków, uciskających niewinną klasę wyzyskiwaną, pełni zmitologizowany PRL, w którym rzekomo nie można było myśleć, mówić i uprawiać sztuki. (W rzeczywistości przeciętny człowiek w PRL, może dlatego, że władza interesowała się tym, co ludzie myślą, na złość władzy myślał dużo i dość swobodnie. Przeciętny poziom umysłowy ucznia i kandydata na studia był znacznie wyższy niż dzisiaj.) Mityczny PRL – w małej mitologii blo-

kersa – wznosił ohydne szare blokowiska i zamknął w nich Bogu ducha winnych białych niewolników, nie dając im szansy na lepsze życie. Dlatego szanujący się blokery nie korzysta ze specjalnie wyznaczonych terenów sportowych i boisk, a także bibliotek, jako urządzonych przez wroga PRL, który zniewalał ludzi w pracy i po pracy. Za centrum świata blokery obiera sobie trzepak, zasadniczo przeznaczony do czego innego. Najpodlejsza właściwie na podwórku przestrzeń, marginalna, najbardziej podrzędna, staje się miejscem spotkań wyzwolonej młodzieży. Trzepak i ławeczka przy nim są także centrum edukacji, z którego usuwa się czerpać całą wiedzę o świecie. Nakazuje to rezerwę wobec szkoły i jej oferty edukacyjnej, jako nie pochodzącej z trzepaka. Ponieważ jednak zasób wiedzy, który można poznać przy trzepaku, jest bardzo ograniczony, blokery nie mają żadnych zainteresowań. A nie interesują się niczym, ponieważ stale tkwią przy trzepaku. Niewolnik trzepaka tłumaczy sobie, że nie może się od niego oderwać, albowiem nie ma pieniędzy. (A nie ma pieniędzy, ponieważ nie umie oderwać się od trzepaka – ale o tym już nie wie.) Kto jest temu winien? Według blokera ktokolwiek, byle nie on sam. Socjalizm, kapitalizm, rodzice, szkoła, kościół, rząd, prezydent. Także zbudowane przez nich bloki i trzepaki. Dlatego blokery – tragiczna jest świadomość blokera – niszczy bloki i trzepaki, choć te go zrodziły, wychowały i wyedukowały.

Stacja XI – Przewrót kopernikański

Po drugim spotkaniu dużo myślałam o blokerych. Zwłaszcza moje myśli uparcie krążyły – *nomen omen* – wokół pobliskiego Domu Kultury, położonego w małym

parku. Tam spędziłam wiele godzin w czytelni naukowej, stamtąd wypożyczałam książki, tam chodziłam na grupowe lekcje baletu (jakżeż to idiotycznie brzmi). Funkcjonowało tu niegdyś ognisko muzyczne, ośrodek nauczania języków obcych i koło szachowe, do których uczęszczali moi koledzy. Była kawiarnia i galeria sztuki.

Ten to Dom Kultury upodobali sobie młodzi bywalcy parku, godzinami wysiadujący na ławkach z puszkami w rękach. Do ozdób z piaskowca w attyce budynku z nudów rzucali kamieniami. Wiele udało im się strącić. Szczególnie jednak zawzięli się na zegar słoneczny na ścianie i na wielki model globusa, wykonany z kutego żelaza, zdobiący schody do czytelni. Wskazówki zegara słonecznego, umieszczonej kilka metrów nad podestem tarasu, nadludzkim wysiłkiem udało się im osiągnąć. Złamali ją. Model Ziemi, wielkości człowieka, usiłowano ruszyć z posad. Mimo że waży kilkaset kilogramów, wyrwano go razem z blokiem piaskowca i usiłowano zrzucić ze schodów.

Polskie wydało go plemię.

Wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię.

i jeszcze:

Dalej, bryła z posad świata,

Nowymi cię pchniemy tory.

Ale przedstawiciele konkurencyjnej kultury uratowali wiszący na fragmencie grubego metalowego pręta globus i ustawili na miejsce. Wskazówkę zegara na nowo osadzono. Budynek został niedawno pięknie odnowiony.

Wtedy na bladobłękitnych ścianach tarasów, zdobionych ławami z piaskowca i delikatnymi białymi płaskorzeźbami, wykonano liczne graffiti, spod których nie widać już rysunku płaskorzeźby.

(Janek zapewne powie, że nie byli to „prawdziwi graficyści”, ci nie niszczą zabytków ani prywatnej własności. Ale budynek Domu Kultury, wybudowany po wojnie, nie jest zabytkiem, nie jest też własnością prywatną, a społeczną.)

Nagle łuski spadły mi z oczu.

Stacja XII – Po przewrocie kopernikańskim

Stało się dla mnie jasne jak słońce coś, co do tej pory nie mieściło mi się w głowie. Stałam mocno na ziemi.

Dlaczego graficyści zachowują się tak, jakby nie widzieli, że szpecą miasto, niszczą czyjąś własność i dezorganizują przestrzeń?

Odpowiedź, której sama sobie udzieliłam po przewrocie kopernikańskim, jest taka:

Graficyści nie niszczy budynku albo ściany, nie niszczy też miasta. Jego celem nie jest też obrzydzenie życia komuś.

Graficyści dosłownie i ściśle w tego słowa znaczeniu nie widzi budynków, miasta, ludzi i ich możliwych reakcji. Dla blokera nie istnieje bryła budynku jako całość architektoniczna i osiedle jako całość urbanistyczna. Jest to układ zbyt abstrakcyjny, aby zaprzętać sobie nim głowę. Dla

przeciętnego blokera miasto to system ulic, placów i podwórek, a bardziej jeszcze system tras, połączeń między interesującymi go punktami (mój blok, blok kumpla, najbliższy sklep, kino, pub, trzepak, gdzie spotyka się z kumplami, brama lub ławka, gdzie można wypić piwo lub całować się z dziewczyną). Miasto to labirynt ze ścian, pomiędzy którymi są jakieś przejścia, i tras, którymi jeżdżą autobusy. Przestrzeń ta jawi się blokerosowi jako zupełnie niezorganizowana, póki on sam nie podporządkuje jej swoim potrzebom. Dlatego znaczą ją własnymi napisami. Dopiero te napisy organizują mu świat wokół, czynią go czymś oswojonym i czytelnym.

Wydawałoby się, że ktoś, kto maluje na ścianie napis lub rysunek, który nie pasuje kolorystycznie i stylistycznie do całości, który nie uwzględnia obrysu całej ściany, rozmieszczenia innych elementów: okien, drzwi, parapetów, rynien (napisy bardzo często kicą się na jakimś kawałku ściany, zachodzą przypadkowo na jakieś zamknięte drzwi, okiennice itd.), wykazuje się po prostu brakiem elementarnego zmysłu piękna. (Zdobnictwo na wigwamach i wiejskich chałupach jest dużo lepiej zorganizowane.) Ale nie o to chodzi, że graficyści nie mają zupełnie zmysłu estetycznego i psuje wygląd czegoś, co lepiej lub gorzej, ale zaplanował jednak architekt (czyli artysta). Graficyści tego po prostu *nie widzi*, widzi tylko fragmenty ściany.

Dlaczego graficyści niszczy czyjąś własność (swoją – o czym nie wie)? Po prostu graficyści nie jest członkiem społeczeństwa. Nie dlatego, że społeczeństwo go wykluczyło, lecz dlatego, że nie nawiązał z nim żadnego stosunku. W tym sensie naprawdę należy do innego społeczeństwa i innej kultury. Graficyści nie obchodzą tradycje jego miasta, dzielnicy, nie mówiąc o historii jego narodu. Obchodzi go wyłącznie grupa jego znajomych, podobnych jemu. Innych ludzi po prostu nie widzi. Pojęcie własności społecznej jest przeciętnemu blokerosowi niedostępne. Żeby rozumieć, czym jest własność społeczna, trzeba rozumieć, czym jest społeczeństwo. Ten twór jest jednak nazbyt skomplikowany, aby się nad nim zastanawiać. W przestrzeni koło trzepaków mieści się przecież zaledwie kilka osób.

Dlaczego niektórzy przedstawiciele niektórych subkultur domagają się, by znieść całą dotychczasową kulturę?

Po prostu *nie są w stanie jej zobaczyć*. Bardziej złożone fakty kultury są dla nich zupełnie nieczytelne, a ściślej rzecz biorąc: po prostu niewidoczne.

Przykład pierwszy: żeby słuchać „Pasji” Bacha, trzeba umieć postawić sobie pytanie, kim jest Bóg (choćby się nawet w Niego nie wierzyło), jaki jest sens cierpienia Boga, jaki jest sens śmierci Boga za człowieka i trzeba znać trochę Nowy Testament. Ale nade wszystko trzeba umieć słuchać przekazu muzycznego, wyrażonego w dość złożonym języku. Z pełną odpowiedzialnością twierdzą i podejmują się dowiedzieć, że w jednym – dosłownie w jednym – takcie fugi Bacha jest więcej myśli muzycznej niż we wszystkich wytworach rapu, które powstały lub kiedykolwiek powstaną. Dlatego dla ucha nieprzygotowanego słuchacza *fuga jest niczym, jest niezorganizowanym hałasem. Po prostu nie istnieje*. Żeby ją usłyszeć, trzeba by nauczyć się jej słuchać. Jak? po prostu słuchając. (Dygresja: Bacha można usłyszeć np. w radiu, w Programie II, 102,4 FM, nadaje 24 godziny na

dobę. Abonament radiowy kosztuje około 3 zł miesięcznie, tyle, co puszka piwa.)

Przykład drugi: żeby obejrzeć jakiś film Ingmara Bergmana, niech będzie to „Siódma pieczęć”, trzeba coś wiedzieć o średniowieczu i wojnach krzyżowych. Trzeba też umieć widzieć kadr jako zorganizowany obraz i rozumieć sens następstwa kadrów. Żeby to zacząć widzieć, trzeba obejrzeć kilka lub kilkanaście filmów artystycznych. (Filmy o policjantach, seriale i filmy kung-fu są tu bezużyteczne; operują innym językiem.) Trzeba też znać kulturę europejską na tyle, aby rozumieć jej symbole. Trzeba w końcu mieć jakiś zakres doświadczeń, przemyśleń, jakiś diapazon uczuć. Wykształcony człowiek czerpie to doświadczenie z utrwalonych w kulturze wybitnych świadectw. Jest uczucio-wo i myślowo bogatszy o to, czego doświadczyli i przeżyli inni. Człowiek, który 20 lat, czyli całe swe życie, spędził między trzepakiem a ławeczką, ma zastraszająco mały zakres doświadczenia, choćby zasnął głodu, wziął udział w kilkunastu bójkach i napadach, rozpoczął życie seksualne w 12 roku życia i od dziecka miał okazję obserwować *delirium tremens*. Mimo to „Siódma pieczęć” będzie dla niego serią migających obrazków bez określonego sensu. Gdyby pokazano mu film „Cześć, Tereska”, opowiadający o jego własnym gorzkim doświadczeniu, też prawdopodobnie by go nie zrozumiał.

Większość przedstawicieli słabo zorganizowanych kultur i subkultur nie widzi samych siebie. Żeby bowiem zrozumieć swoje własne zachowanie, trzeba mieć jakikolwiek punkt odniesienia na zewnątrz. Nie mają go zamknięte grupy przestępcze, kultury pierwotne i słabo zorganizowane subkultury, ignorujące istnienie czegokolwiek na zewnątrz. Tymczasem rozwinięta kultura europejska wytworzyła sposoby mówienia o samej sobie, ma samoświadomość, i do tego właśnie – między innymi – służy badanie średniowiecza.

Kultura europejska daje też i człowiekowi możliwość zdobycia samoświadomości. Oznacza to dystans do samego siebie, możliwość zmiany samego siebie i swojej sytuacji – czyli... wolność.

Przykład trzeci: Położony w parku Dom Kultury jest kompleksem budynków. Składa się nań Teatr Komedia, dla którego wybudowano budynek na planie kwadratu, nawiązujący do klasycyzmu, zwieńczony kopułą, oraz budynek właściwego Domu Kultury, na planie prostokąta, z trzema różnymi elewacjami. Przy wejściu do wypożyczalni i czytelnicy naukowej (można w nich korzystać za darmo z książek oraz Internetu) umieszczono zegar i globus, które symbolizują opanowanie czasu, przestrzeni i ruchów ciał niebieskich przez rozum ludzki. Żeby to rozumieć...

...Jakżeż to charakterystyczne, że bezmyślny atak nowej „kultury” zwrócił się przeciwko tym dwóm symbolom. Jakby ktoś chciał pokazać, że nie interesuje go ten czas, który minął, czas mierzony zegarem słonecznym. Jakby ktoś chciał pokazać, że nie interesuje go ta przestrzeń, którą odkryła, zorganizowała i opisała kultura europejska: przestrzeń Ziemi, odkryć geograficznych, obserwacji astronomicznych, lotów kosmicznych.

Czy ci, którzy próbowali ruszyć z posad „bryłę świata”, byli w stanie zobaczyć w nim model Ziemi, czy widzieli tylko dziwną ozdobę lub kupę złomu do sprzedania?

Stacja XIII – Etap probabilistyczny

Grupa ludzi, którzy nie są w stanie wznieść się na poziom kultury, w której się urodzili – mam tu na myśli złożoną kulturę europejską – stale rośnie. Dyktują oni poziom programów telewizyjnych, czasopism, masowej rozrywki. Dyktują oni styl na ulicy, w pociągu, w tramwaju. Zamieniają powoli osiedla w slumsy. Pod ich skrzydłami rosną dzieci, które są jeszcze mniej wykształcone od swoich rodziców.

Młodzi ludzie, całkowicie obojętni na wszystkie treści starej kultury, pojedynczo i w niewielkich grupkach już docierają na uniwersytety. Zachowują się tu niczym nurkowie opuszczający się w skafandrach i hermetycznych hełmach do wody, gdzie panuje nieznośne ciśnienie kilku tysięcy lat tradycji i gdzie nie ma czym oddychać. Potem z ulgą wracają na powierzchnię, do swojego płytkiego „teraz”, zorganizowanego przez jakąś najnowszą modę. Nie widzą niczego dziwnego w tym, że nie interesują się studiami, które sami wybrali. Bezmyślnie traktują szkołę wyższą jako nieznośnie nudne przedłużenie przymusu szkolnego. Uniwersytet jest dla nich więzieniem, w którym trzeba odsiedzieć pięcioletni wyrok, zajmując się *pro forma* czymś, co w gruncie rzeczy jest dla nich niemal bez wartości. Odsiadują, bo chcą mieć papier uprawniający do pobierania w jakiejś instytucji co miesiąc pieniędzy, które są niezbędne do życia. Nie są w stanie pojąć, że nie w tym celu całe społeczeństwo wykląda na ich kształcenie spore pieniądze.

Stacja XIV – Próbną Apokalipsa

Z głośników ulicznych dniem i nocą płynie tup („kultura” tu tu wyparła hiphop). Wszędzie wala się odpadki plastikowe, połamane płyty i wywleczone z kaset taśmy magnetofonowe. W wielu miejscach widoczne są ślady po ogniskach. Na nielicznych ocalałych szybach widać ślady ostrzy.

Odkrytym jaguarem, trochę podrdzewiałym, pchanym przez fanów (benzyna od jakiegoś czasu nie jest produkowana) przejeżdża Król Tup ubrany w skórę jaguara. Wita go ryk. Dziewczyny piszczą i mdleją. W podnieconym tłumie wybuchają bójki między ubranymi w przepaski biodrowe ze sztucznych włókien a ubranymi w skóry. Niesfornych pacyfikują kijami osiłki z gwardii przybocznej Króla. Jest i trzecia frakcja: nagich. To nihiliści. Głoszą bezsens wszystkich działań.

Wokoło mury. Każdy metr kwadratowy ozdobiony napisem. Ponieważ znaczna część tynków odpadła, napisy stały się nieczytelne. Zresztą, młodsza część społeczeństwa nie umie już czytać. Obowiązek szkolny obejmuje tylko cztery klasy szkoły podstawowej, ale niektórzy rodzice w ogóle nie posyłają dzieci do szkół, choć są bardzo tanie.

Jako margines społeczny, od lat bezrobotna (szkoły wyższe i wydawnictwa już nie istnieją), egzystuje w rudrach w centrum miasta. Są to kamienice Starego Miasta, Teatr Wielki i Pałac Kultury, których skomplikowana architektura nie dała się przystosować do potrzeb tupu (za mało wolnej przestrzeni). Z bezmyślnym uporem, razem z sobie podobnymi, ściągają do swojej pakamery na XXIII pię-

rze Pałacu (windy, oczywiście, są nieczynne, dlatego mieszkają tu najubożsi), książki ze zlikwidowanych bibliotek i taśmy ze zburzonego studia Polskiego Radia. Udało się nam ocalić trochę obrazów z Zamku, gdzie ma teraz rezydencję KróTu, i z Muzeum Narodowego, zajętego przez Tup-Fan-Club. (Przytaszczyliśmy nawet wyrzucony na śmietnik globus z byłego Domu Kultury na Żoliborzu. Mam do niego dziwny sentyment.) Rzadko wychodzę na ulicę. Utrzymuję się z nauki czytania i pisania w dawnomowie. Moi uczniowie są ubodzy, ale przynoszą mi trochę jedzenia, ubrania albo książki (odkąd zaczęto palić pod kociołkami czym się da, książki stały się bardzo rzadkie). Stale mnie namawiają, żebym zaczęła pisać teksty nowotupowe. Uparcie odmawiam.

Dziś wielki wieczór. W końcu obdarzony absolutnym słuchem klawesynista Władysław Kłosiewicz uzupełnił z pamięci wszystkie brakujące fragmenty partytury, skompletowano też wszystkie typy instrumentów i – wprawdzie w pojedynczej obsadzie – odbędzie się wykonanie „Pasji według Świętego Jana” Bacha. Recytatywową partię ewangelisty wykona Janek.

Już idzie, z góry widzę jego powiewające długie włosy.

Etap ostateczny

Jest długi gładki mur. Długi gładki mur, biało otynkowany, bez żadnego napisu i żadnej skazy. W murze przejście. Za murem ogród. W ogrodzie śpiewa ptak.

Przechodzę.

Was ich geschrieben habe, das habe ich geschrieben.*

* Was ich geschrieben habe, das habe ich geschrieben (niem.) – Com napisał, napisałem. („Ewangelia św. Jana” 19, 22). Cytat z „Pasji według św. Jana” Johanna Sebastiana Bacha. Bo są dwie wielkie Pasje Bacha, według św. Jana i według św. Mateusza.

Anna Gocłowska

Wyrostek robaczkowy

dopiero po udanej operacji okazało się że to nie były kamienie w woreczku żółciowym ale wyrostek robaczkowy
tyle że robaczek był cokolwiek za duży
miał ćwierć metra średnicy cztery metry długości
był czarny i śliski
rzucał się bardzo pogryzł nawet dwie pielęgniarki
dopiero wezwana ochrona dała mu radę
przestrzelając obłe mięso na wylot
teraz pływa sobie spokojnie w formalinie
podziwiany przez dziesiątki naukowców
długo zastanawiali się jak coś takiego
mogło zmieścić się w moim ciele
aż jeden profesor dowiódł niezbicie
przy pomocy mądrych znaczków logiki
że skoro wąż może połknąć słońca
i trawić go potem pół roku
to możliwe jest że robaczek
mógł zostać połknięty
przypadkiem
w czasie ziewania

* * *

jesteś moim dobrym snem
który się zdarza czasem
nad ranem
po pustce przetykanej
niegroźnymi koszmarami

nie potrafię cię pokochać
bo zaraz zaświta
ale pragnę twoich warg i słów
i niech nie będzie nic poza

zaciskaj
moje powieki
pocałunkami

* * *

znów czuję ten zapach
świeże mięso w rui
gdy idę za tropem
narasta głód
jest lekkomyślna
jestem lekkomyślna
włosy na szczotce
szminka na kubku
wszędzie ślady

żeby nie spłoszyć
bezszelestnie
kluczę w półmroku
po pustych pokojach i korytarzu
zdradza ją światło w łazience
nasłuchuję lecz cisza
zaczajam się i

jest!
w lustrze
w potrzasku
naga i dzika
próbuję uciekać przed samą sobą
na pralkę do wanny
tańczy z obłądem w oczach
tańczę z obłądem w oczach
nie może zbić lustra
nie mogą zbić lustra
na wszystkich ścianach
zakłęte koło
zębami i pazurami
rozrywam jej ciało
własne ciało
gwałcę we krwi

z wanny wystają nogi
reszta w lodówce

Karolina Banasiewicz

Fatamorgana

Czasami
krocząc przez pustynię życia
czuję dotyk pocałunków
lecz to tylko wiatr

Czasami
czuły szept dobiega z oddali
lecz to tylko trzepot ptasich skrzydeł

Czasami
widzę oazę ramion
lecz gdy nachylam się by zaczerpnąć
czuję w ustach jedynie piach

Fatamorgana?

Magdalena Frankiewicz

Skażenie

wystarczy stworzyć chwilę
brzmienia oddechu
wystarczy usiąść zgarbionym
i roztańczyć się szalem
w przód w tył
w przód w tył
bez końca
w przód w tył

zawiesić oczy
w martwym punkcie

by wydalić skażenie

Barbara Wojtyńska

Repertuar Teatru Narodowego

Sen nocy letniej
Na czworakach
Szkofa żon
Ślub
Dożywocie



Królik umiera, kiedy jego uszy są zranione¹

Magdalena Woźniewska

Świat zdziwiony jest skutkiem swoich działań, tak jak zdarza się, że ptak zaskoczony jest podrzuconym z cudzego gniazda kukułczym jajem. Nie ma na świecie miejsca dla zwyczajnych niezwykłych, którzy zapuścili korzenie w ubiegłych wiekach i nie chcą się odciąć. Ci, którzy ulegają, automatycznie stają się uczestnikami zabawy „Świat na opak”. Tak więc muszą wyć, podlizywać suchą skórkę, pajacować jak udomowione szympansy, biec za stadem, które nie wiadomo dokąd biegnie (po prostu biegnie), etc.

Sytuacja przypomina morze, które rozlało się i nie ma już granic.

Nie wiem jak doszło do tego
że wszystko co słyszę i widzę
stało się morzem
obcy sąsiad przyjaciel
fale
miasto
rycząca kipiela.²

Po prostu się w nim pływa, nie można już z niego wyjść na ląd. Można od czasu do czasu wdrapać się na jakiś stateczek albo fódceczkę, ale bez gwarancji na to, że nikt cię stamtąd nigdy nie wyrzuci – za burtę – do lodowatej wody. Szczęściem jest znalezienie wysepki.

Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji – koło napędza się samo. Wiruje. Ocaleni – bo są tacy – stoją na zewnątrz i obserwują. („Co to znaczy dać się ogarnąć przez stan obserwacji? Oto i wreszcie konkretne pytanie, pytanie bezcenne, pytanie, które może być cudotwórcze, które może dotknąć życia...”³). Nie jest ich wielu. Uznani za szaleńców, pozostawieni samym sobie, mają szansę oglądać ten spektakl z innej perspektywy. Ponieważ są obłąkańcami, których nic i nikt już nie uleczy, mają względny spokój. Nie uczestniczą w lekcjach współczesnego aktywnego funkcjonowania w Wielkiej Firmie, nie muszą się śmiać z tego, co wszyscy, czytać tego, co wszyscy, nosić tego, co wszyscy, a nawet jeść i pić tego, co wszyscy. Mogą decydować sami. Są tragicznie świadomi. Nie należą chyba do żadnej z modnych grup...

Kasta albowiem wróbli inna jest, a inna
Ibisów krzywodziobnych, inna krokodyli
Te zaś pomiędzy sobą rzadko mają zawiść.
– Święty jednak krokodyl drugiemu świętemu
Zajrzy, bocian zawiści bratu bocianowi.
Tak zazdrość jest pomiędzy tymi, którzy nie chcą
Nic z siebie uczynić trudem osobliwym,
Lecz naśladować rzeczy przez drugich poczęte
I uwłóczyć ich sprawie...⁴

Pewna grupa ludzi posiada umiejętność żonglowania emocjami, potrafi udowodniać nieprawdziwe, zaprzeczać sensom wyborów według starych przekonań. Ludzie ci zachowują się jak magowie, których czarny płaszcz zawsze ochroni przed deszyfracją i odkryciem ich niecznych postępów. Bywają wśród nich tacy, którzy odwracają „porządek rzeczy odwieczny” dla samej satysfakcji destrukcji, także dla poczucia swojej pozornej przewagi. Tak to już jest, że człowieczek lubi być duży... Co tam duży – wielki.

Magowie dobrze wiedzą o tym, że niejednen szaleniec mógłby przeciwstawić się im, gdyby nie ich spryt i żenująco niziuteńki poziom, do którego zniżyć się nie sposób. (Byłoby to wbrew zasadom szaleńca.)

Najtrudniej jest z Absolutem. Oto czubek góry lodowej – wiara w Boga. Postawiono przy niej duży znak zapytania. Właściwie świat uznał banicję Boga i nieszczególnie, jak się zdaje, przejął się tym. Deus był zbyt *absconditus*.

Panie,
Dlaczego kocham zmierzch,
Jesień
I przeszłość...⁵

Człowiek postanowił wystarczyć sobie sam. Tym razem, bo przecież bywało wiele prób wcześniej, wdrapał się na Olimp i zmienił hierarchię. Włożył sobie koronę – co także się już zdarzało – a teraz wierzy, że sprawuje silne rządy. *Rex sum!* Niewielu jednak wie, jak bardzo się myli. Po pierwsze jego władza jest skończona, po drugie jest w stanie wszystko zniszczyć, ale nie wszystko unicestwić.

Grupa szaleńców żyje inaczej. Nie wierzy magii – tej czarnej magii – i pustostwowi zaklęć współczesnego świata. *Abrakadabra!* Choć każdy z nich wie, że musi wypaść z gry prędzej czy później, decydują się podjąć spór. Ich zasadą jakby jest mieć coś z Rycerza z La Manczy. Znacze to

...a my – kawalery błędne,
Bez giernków, z wstęgą na piersi czerwona,
Przez mokre lasy, przez lasy żółte,
Ciągniemy przędzę z dala zaczeponą.⁶

To jest pojedynek o duszę. Królik, który ma zranione uszy, musi umrzeć – teraz lub za chwilę, gdyż nie jest w stanie wyczuć, usłyszeć zbliżającego się niebezpieczeństwa. Dybiący na jego życie może stać tuż za nim i jeszcze przed zamachem delektować się ucztą! Królik jest bez szans. Człowiek, któremu zraniono to Coś w środku, jest jak królik o zranionych uszach – zgubiony. Nie jest w stanie odczytać świata właściwie. Dobra perspektywa – utracona. Egzystuje rządony siódmym zmysłem (o szóstym już nakręccono film), zmysłem korzyści.

Instykt przetrwania wykluwa się zeń jak larwa, co sekundę... zaczyna dookreślać.

Więc żyje zaledwie tak długo, dopóki funkcjonuje w nim fizjologiczny mechanizm zapotrzebowania. Swoją drogą jest on niczym studnia bez dna.

Dziś nikt nigdy na nic nie ma czasu. Wszyscy myślą o tym, co będzie za godzinę, jutro... gdy nieprzerwanie trwa dzisiaj. Planuje się i myśli o przyszłości, ale mało komu przychodzi do głowy, że najcenniejsze jest teraz. Nie ma miejsca na przyjaźń. Może nawet na miłość.

...już byliśmy tysiąc razy
zakochani w innych
zakochanych
zaplątani w czymś dziwym
i dziwnym...⁷

Ktoś, kto stoi obok, jest twoim potencjalnym wrogiem i pewnie od chwili, kiedy cię poznał, zastanawia się, jak cię upiec na ogniu, który sam wzniesiesz. Zastanów się... czy tak nie myślisz? W imię czego ta kobieta czy ten mężczyzna miałby cię kochać i szanować? Wszystko, co robisz, co mówisz, to, jak patrzysz i jak się uśmiechasz – jest co najmniej podejrzanym. Tak więc miej się na baczności. Za każdym rogiem stoi twój nieprzyjaciel. Za każdym rogiem stoi strach... więc buduj domy okrągłe!

Ludzi nic nie łączy. Nie ma żadnej sprawy, żadnej idei, żadnej wspólnej nadziei. Wspaniałomyślność doprowadziła ludzi do życia według schematu. Konsekwencją jest bolesny upadek, ale bolesny tylko dla tych, którzy o nim wiedzą. Stoi się więc nad przepaścią i spogląda się w dół lub, jak kto woli, w Dolisko-Przepadlisko.

Tkwi więc człowiek jak królik ze zranionymi uszami i cały drży jak młodziutka osika, która ma tyle liści...

tyle liści a pod każdym liściem
rozpacz.⁸

Napięcie rośnie, bo za plecami stoi jego wspaniały kolos współczesności. Człowiek udaje męstwo, gdy tak naprawdę się boi.

Sytuacja napięcia może potrwać jeszcze przez jakiś czas. Wszystko ma swój właściwy moment – koniec także. „Na wyrok lasu czekam jak niegdyś w Dodonie”.⁹ Najtrudniejsza jednak jest właśnie ta osobliwa chwila czekania.

W czym przyjdzie tkwić naszym dzieciom, jeśli zdążą przyjść na świat tuż przed ostatnim zachodem słońca? Będą piły piasek. Ich rozdwojona jaźń nie będzie w stanie zapuścić korzeni. Większość z nich najprawdopodobniej już urodzi się z okaleczonymi uszami i z góry skazana zostanie na agonię, a może nawet na przedwczesną śmierć.

Szaleńcy znaleźli własną drogę ucieczki – samych siebie. Przenieśli swój dom, wszystkie sprzęty, książki, płyty, wszystkie uczucia, pragnienia do swojego, nie do końca wiadomo gdzie usadowionego, serca. Hodują myśli i próbują zachować równowagę. Zdarza się, że przyprowadzają kogoś do siebie. Zwykle jednak szybko się zrażają. Tak naprawdę dom swój opuszczają rzadko. Chronią perłę, która tkwi w samym środku ich wszechświata.

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę –
jak perła
upadnie w rynku miskę –
miska zabrząknie.¹⁰

Poznaj szaleńca, bądź szaleńcem.

¹ Przystawie plemienia Gizigów z północnego Kamerunu, *Przystawia gizigijskie*, tłum. wstęp i postłowie J. Różański, Warszawa 2000, s. 59.

² Rose Auslander, *Morze II*, w: „Zeszyty Literackie”, Warszawa-Paryż 1993, nr 2, s. 33.

³ E. Stachura, *Fabula rasa. (Rzecz o egoizmie)*, Olsztyn 1985, s. 130.

⁴ C. Norwid, *Kleopatra i Cezar*, w: *Pisma Wybrane*, t. III, oprac. J. W. Gomulicki, Warszawa 1968, s. 246.

⁵ R. Brandstaetter, *Panie, dlaczego kocham zmierzch...*, w: *Księga modlitw*, Poznań 1996, s. 82.

⁶ C. Norwid, *Epos-Nasza*, w: *Pisma Wybrane*, t. I, oprac. J.W. Gomulicki, Warszawa 1968, s. 191.

⁷ A. Górnicka, *Proces fermentacji*, w: „Zeszyty Literackie”, *op. cit.*, s. 19.

⁸ Z. Herbert, *Dęby*, w: *tegoż Elegia na odejście*, Wrocław 1999, s. 6.

⁹ *Ibidem*, s. 5.

¹⁰ J. Czechowicz, *Księżyc w rynku*, w: *tegoż Wiersze*, Warszawa 1997, s. 118.

Wywoływanie duchów w poezji

Rozmowa z Krzysztofem Koehlerem

Katarzyna Bujnowska

– Jak wspomina Pan czasy studenckie? Jaka panowała wtedy atmosfera?

– Fatalna. To były lata osiemdziesiąte – stan wojenny, a dokładnie połowa lat osiemdziesiątych, czyli od 1982 do 1987. Były to czasy beznadziei, pustki. Stan wojenny i powojenny; Wojciech Jaruzelski jako rządzący Polską; cyniczni pragmatycy przy władzy; znajomi, z których jedni wyjeżdżali, uciekali z Polski, drudzy malowali na murach; demonstracje, pałowanie – to był kontekst naszej młodości. Niewiele nadziei, bo wydawało się, że komuniści będą rządzić zawsze. W połowie lat osiemdziesiątych miałem poczucie ogólnej degrengolady. Ideały opozycyjne stawały się coraz mroczniejsze; wiele historii o szlachetnych osobach, które nie wytrzymały psychicznie i moralnie... W tym kontekście studiowało się jak w jakiejś niszy – dla siebie, ale nie wiadomo po co, bez tego koniecznego przełożenia, że to ma sens społeczny.

– Czy rzeczywiście warunki polityczne wyłącznie paraliżowały, czy może dawały też możliwość aktywności twórczej?

– Chyba jednak, paradoksalnie, dawały. Może jest tak, iż takie czasy są wbrew pozorom nawet lepsze dla ludzi o predyspozycjach twórczych, niż czasy marketingu i wolnego rynku. Choć wcale nie jestem pewien tego, co mówię.

– W połowie lat osiemdziesiątych działały prężnie zjazdy studenckich kół polonistów: pierwszy w 1985 w Poznaniu, we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie, na KUL-u. W gronie uczestników znaleźli się późniejsi założyciele pism literackich: „Tygodnika Literackiego”, „Czasu kultury”, „bruLionu”, „Fa-artu”. Czy Pan uczestniczył w tych spotkaniach?

– Na kilku byłem – na pewno w Lublinie, także w Poznaniu. Były to bardzo przyjemne imprezy. Czytano referaty, ale pomysł był taki, żeby środowiska się wymieniały. Nie było Internetu, w związku z tym nie było przepływu in-

formacji, co się dzieje w takim czy innym miejscu, nad czym ludzie pracują. Tematy referatów – literatura źle widziana, źle obecna, czyli literatura poza cenzurą – powodowały aurę tajemniczości wokół tego. Ale przede wszystkim poznawali się ludzie z różnych środowisk, tam mieli szansę po raz pierwszy się zobaczyć. Różne rzeczy się działy obok ideowych dyskusji... na jednym zjeździe, w Poznaniu, wywoływałem duchy, a w Lublinie... tak, w Lublinie, panowała atmosfera Jerofiejewa i jego „Moskwy-Pietuszki”...

– Czy pamięta Pan jakąś zwariowaną, nietypową imprezę literacką?

– To na pewno była ta z wywoływaniem duchów. To było tak dziwne, że w jednym pokoju część uczestników konferencji oddawała się życiu towarzyskiemu, a druga część obok wywoływała ducha, nie wiem kogo... Edwarda Stachury, czy kogoś takiego.

– Uczestniczył Pan w tym?

– Tak, tak, jasne.

– Duch przyszedł?

– Przyszedł jakiś duch, coś tam pisał na kartkach, nie pamiętam co.

– Pewnie wiersze...

– Nie, bzdury. Okropnie przeklinał – strasznie! W związku z tym to może był Stachura... Rzucił wyzwiska pod naszym adresem... I miał rację!

– Czy poprzez uczestniczenie w takich spotkaniach tworzyła się wspólnota studencka? Dawało się ją odczuć?

– Zawsze jest tak, że dobiera się swój krąg ludzi. Bardzo dużo było studentów do niczego, których nie potrafiłbym

wymienić z nazwiska. Tworzyło się nisze wśród znajomych kolegów czy koleżanek, z którymi dobrze się współdziałało robiąc głupie albo mądre rzeczy. Ale najważniejsze było to, że te zjazdy kół polonistycznych z całej Polski stworzyły dobre podwaliny dla stworzenia środowiska. Wszyscy się znali. W momencie, gdy później część osób wchodziła do takiego czy innego miejsca, można było się nawzajem wspierać. Pojawiła się idea stworzenia takiej „mafii”, żebyśmy generacyjnie byli w miarę wierni sobie. Jeśli komuś uda się zaistnieć, żeby pamiętać o drugich. Na ówczesny układ w kulturze to bardzo dobrze działało. To była jakby próba wytworzenia swojej własnej przestrzeni, a nie dopisywanie się do przestrzeni „starych”, tej, którą zastaliśmy. Nie trzeba było już chodzić z tekstami do redakcji jakichś „obcych” czasopism, bo miało się swoje czasopisma. Choć dzisiaj widać, że ta struktura nieformalna nie przetrwała testu czasu.

– Czy działał Pan w czasopiśmie studenckim?

– Tak, na filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, nazywał się „Kontr-Akty”. Natomiast takim prawdziwym, ale nie studenckim czasopismem był „bruLion”.

– Wykłada Pan w Krakowie i Warszawie – mówi się od zawsze o opozycji tych dwóch miast. Jak Pan to widzi?

– Nie jestem z Krakowa. Taki podział jest żenujący – Zamek a Wawel...

Ale muszę się przyznać, że mam kłopoty z Krakowem... Kraków jest takim „gettowym”, jeśli chodzi o kulturę, miastem. Jest to getto przede wszystkim towarzysko-koleżeńskie, w którym jest mała szansa na przepływ nowych idei. To światek zamknięty, gdzie wszyscy się znają, chodzą ze sobą na wódkę, obgadują się, plotkują. A jeśli ktoś w tym nie chce uczestniczyć, to wypada poza margines. Może to z powodu Rynku, który przyciąga jak magnes? Proszę zwrócić uwagę, że „bruLion” wyemigrował do Warszawy.

– Myśli Pan, że Warszawa jest inna?

Nie znam Warszawy, ale początkowo, w porównaniu z Krakowem, tutaj miałem wrażenie oddechu, jest większa przestrzeń. Być może jest tu trochę inny układ towarzyski, większy pluralizm środowisk. Mieszkam w Nowej Hucie, do Krakowa jeżdżę rzadko, może nawet rzadziej niż do Warszawy.

– Ma Pan kontakt ze studentami krakowskimi i warszawskimi – jak ocenia Pan dzisiejszą kulturę studencką? Czy jest w niej potencjał twórczy?

– Z krakowskimi nie mam kontaktu już od jakiegoś czasu. Nie wiem, jacy wy jesteście, nie znam was na dobrą sprawę. Ale słabo znam kulturę studencką. Czy jest lepsza, czy gorsza? Między Krakowem a Warszawą nie widzę różnicy, widzę między naszą uczelnią a Uniwersytetem Jagiel-

łońskim. Chodzi o różnicę w jakości, i to sporą. Miałem wrażenie, przynajmniej na początku, że studenci małopolscy są lepiej przygotowani do studiowania. Lepiej mi się z nimi pracowało niż z wami na początku. Ale to może było doświadczenie innego rodzaju, bo miałem przerwę w uczeniu i być może różnica, o jakiej mówię, jest różnicą generacyjną, a nie „geograficzną”.

– Jaką widzi Pan różnicę między naszą generacją a Pańską, jeśli chodzi o warunki polityczno-społeczne?

– Wydaje mi się, że macie trochę trudniej, nasza sytuacja była jednak łatwiejsza, ponieważ świat był w pewnym sensie ułożony. Jeżeli ktoś był porządnym człowiekiem, potrafił się odnaleźć w tamtym świecie. Podział był oczywisty: na „nas” i „onych”. Niedobry w tamtym okresie był brak zewnętrznych stymulatorów w postaci ciekawych idei, czy rzeczy wokół. Człowiek stawiał się, siłą rzeczy, intelektualistą książkowym. Zamykał się w swojej przestrzeni, czytał Dostojewskiego, bo świat zewnętrzny nie oferował niczego atrakcyjnego, był szary, ponury i przygnębiający. Wy jesteście przez cały czas „pośpieszani”, więc łatwiej się wam rozproszyc – i dlatego wam jest trudniej. Ale z drugiej strony świat współczesny jest frapujący, daje wielkie szanse i „pociąga” do działania. Gdy narzekamy w gronie „starszych” kolegów i koleżanek, stwierdzamy, że mieliśmy bezsensowną młodość. Nie mieliśmy pieniędzy, perspektyw, prowadziliśmy życie takich „aniołów”, którzy siedzą i czytają książki, są oderwani od życia. Polska lat osiemdziesiątych – przynajmniej dla mojej generacji, albo dla mnie jedynie – była krajem atrofii, braku wolności i perspektyw. A przecież lepiej się żyje w społeczeństwie i dla społeczeństwa, jeśli można coś dla niego zrobić.

Dlatego uważam, że wy, wbrew pozorom, macie „szansę na sens”. Zna Pani taki program „Szansa na sukces”? Stąd mówię o „szansie na sens”. Owszem, jest go trudniej znaleźć, ale możecie partycypować w nim aktywniej niż my. Wydaje mi się, że w tej wielości, wyborze rzeczy, jest wam może łatwiej znaleźć to „swoje”. Chodzi o to, że rzeczywistość was stymuluje – nas nie stymulowała. Macie przed sobą paletę – wiadomo, że nie jest ona rozłożona przed wami tak, jak przed nami, wiadomo, że w tej palecie trzy czwarte zasługuje na śmietnik – jednak mimo presji i zalewu tandety macie dowolność.

– Kolejnym etapem w Pańskiej twórczości był „bruLion”. Czym był dla Pana – przygodą czy ważnym doświadczeniem?

– Myślę, że i jednym, i drugim. Wydaje mi się, że doświadczeniem była sytuacja mojej generacji, kiedy wkraczaliśmy do literatury, bo (tak jak zawsze zresztą) byliśmy z poprzedniej generacji, którzy trzymali (tak nam się wydawało) wszystkie miejsca, gdzie można zaistnieć. „Nowa Fala” była naszym głównym wirtualnym przeciwnikiem. Był to „wróg” literacki w tym sensie, że zajął miejsca głównie w opozycji (np. „Zeszyty Literackie”). Tworzył struktury

intelektualno-środowiskowe, do których mogliśmy się tylko przyłączyć. A my jako młodzi, początkujący, próbujący się znaleźć w tym wszystkim, mieliśmy problem jakby dumy, że nasze doświadczenie jest zbyt inne od ich doświadczenia, by można było się do nich przyłączyć. Więc idea była taka, abyśmy my – nowa generacja pisarzy – nie musieli przynosić do ich redakcji swoich wierszy, opowiadań czy recenzji, ale żeby to nawet oni do nas przynosili swoje płody, bo u nas jest środowisko, które jest atrakcyjne i pociągające. Tak też wyglądał patent na „bruLion”. W sytuacji otaczającej nas zawiesiny nicości „bruLion” był ewidentnie nastawiony na działanie. To był pomysł, by stworzyć coś, co będzie działało, wygra i odniesie sukces. To było takie wolnorynkowe myślenie.

– Mówi się, że „bruLion” był początkowo nastawiony na wylansowanie nowego pokolenia poetów. Marcin Świetlicki o swojej przynależności do pokolenia bruLionu w jednym z wywiadów powiedział: „...z tą poezją jest tak, że musieli kogoś sobie wymyślić. Maszyna promocyjna była ustawiona, tylko czekali na kandydata”.

– Tak, w zasadzie to było głównym celem. Ale Marcin Świetlicki upraszcza wszystko.... Tak poważnie to „bruLion” przyciągał ludzi, ale też szukał ich – sprzężenie zwrotne. Na pewno nie było to takie proste jak u Marcina. Pomysł był bardzo rzetelny: żeby zebrać całą kulturę, tę uczciwą, czyli niekomunistyczną, w nowym czasopiśmie, które miało przynieść ferment intelektualny. Na początku to się udało, byli tam starzy i młodzi pisarze, ogłaszali swoje teksty. Dopiero w drugiej fazie istnienia „bruLionu” (tej legalnej) sytuacja uległa zmianie, kiedy zasadą stało się dziwactwo, powiedziałbym krótko – skandal obyczajowy, np. w stylu Pomarańczowej Alternatywy itd.

– Czy między poetami „bruLionu” panowała zgoda na określony program poezji? Jaki to miał być program? Ukazało się przecież bardzo wiele manifestów literackich.

– Do niektórych manifestów literackich byliśmy po prostu zmuszeni sytuacją, bo ktoś się na nas obraził i trzeba było wyjaśnić swoje stanowisko. Ale wewnątrz nie było zgody światopoglądowej. „BruLion” gromadził różnych ludzi, dochodzili coraz to nowi, którzy mieli jakieś propozycje, chcieli przedstawić swoją wizję kultury. Naczelną zasadą pisma była: „Tylko boks zbliża ludzi”. Zazwyczaj w Polsce było tak, że zbierał się krąg ludzi o podobnych przekonaniach politycznych, literackich, estetycznych i tworzyło się czasopismo o zdecydowanym obliczu. Natomiast nasz pomysł był taki, by przedstawić pismo bardziej jako pewien sposób myślenia, niż jako jeden światopogląd. Chcieliśmy zaprezentować różne punkty widzenia, pokazując przez to złożoność sytuacji, w jakiej przyszło nam żyć. Wtedy pismo jest sensowne, twierdził redaktor naczelny, kiedy po jego przeczytaniu czytelnikowi nie mówi się, jak ma

myśleć, tylko kiedy uzmysławia on sobie, że musi stworzyć sam siebie wobec tego, co mu podano do poznania. „BruLion” miał skłaniać do samodzielnego myślenia. W związku z tym powstało nieporozumienie antropologiczne, bo starsi pisarze, przyzwyczajeni do formuł podawczych, nie mogli pojąć, jak można publikować teksty antysemityczne czy pornograficzne zupełnie bez komentarzy, np. kazania Himmlera, czy inne dziwactwa antysemityczne – ale z drugiej strony w tym samym numerze były teksty filosemityczne. Czyli była to próba przedstawienia spektrum napięć, wokół którego toczyła się kultura, bo akurat wtedy temat ten zaczął przebijać się do zbiorowej świadomości. Pismo było takim „zwierciadłem na gościńcu”, pokazywało, jakie idee krążą w powietrzu. Nie było w nim żadnych wstępniaków, które zwykle są formułą odcięcia się od takiej czy innej idei.

– W takim razie w latach dziewięćdziesiątych przeprowadził Pan boks ze Świetlickim?

– Tak...

– Po ukazaniu się manifestu „Dla Jana Polkowskiego” w 1990 polemizował Pan m.in. z jego koncepcją „idei jako wodnistych substytutów krwi”. Dlaczego?

– Po pierwsze miałem zupełnie inną poetykę niż Świetlicki, po drugie wydało mi się, że taka postawa jest nieporozumieniem. Literatura jest umownością i sztucznością (sztuką), więc nie można nagle jednego dnia umówić się, że tak nie jest. Dlatego ten tekst napisałem, choć przyznam się, że też dla rozrywki trochę. Pisałem go pół godziny na maszynie.

– Chodziło chyba o niezgodę na przeprowadzoną przez Świetlickiego krytykę języka kultury...

– Tak, Świetlicki postulował autentyzm, zarzucał, że wszyscy są w gorsetach. Takie udawanie... że to naprawdę nie literatura, a przecież literatura jest nieautentyczna, jest jakąś projekcją, wizją, pewnym pomysłem czy też formą, którą się wybiera. Dlaczego jedna forma ma być autentyczna, a druga nie? Czy jak ktoś w wierszach przeklina i jest językowo bliżej codzienności, to jest bardziej autentyczny od tego, kto stoi na koturnach sztuki czystej? Oj, chyba nie...

– To znaczy, że ta polemika nie była tak zupełnie poważna?

– Nie była. I była. Bo z jednej strony była formą „dyskusji literackiej”, ale z drugiej pokazała na przykład mi, że myślimy diametralnie inaczej. A mnie to pretendowanie do autentyczności po prostu zirykowało...

– Umówił się Pan ze Świetlickim?

– Nie! Opublikowałem to bez wiedzy i zgody Świetlickiego, ale on to przeczytał, strasznie się ucieszył i dopisał swój tekst o pasikoniku. To wszystko działa się zgodnie

z celem „bruLionu”. Chcieliśmy pokazać, że jest różnica, że nie jesteśmy grupą poetycką o jednym programie, jednej wizji, ale że wywodzimy się z różnego środowiska.

– „BruLion” przestał istnieć w 1999 roku. Dlaczego skończyła się działalność tego czasopisma?

– To się rzeczywiście rozpadło. „BruLion” miał fazy związane z życiem redaktora, czyli Roberta Tekielego. Miał fazę anarchistyczną, bardzo mroczną, przez którą wszyscy się przetarliśmy w czarnych numerach. Były to niedobre klimaty, wtedy część osób odeszła. Ja zostałem, nie wiem dlaczego, pewnie nie umiając inaczej, bo przez cały czas, wraz z Cezarym Michalskim, trzymaliśmy opcję konserwatywną. Dla mnie testem było graffiti „Baranku Boży odpiędol się”, które zostało zamieszczone w piśmie. Ktoś mi wyjaśniał, że jest to najciekawszy tekst, który pokazuje, co się dzieje z duszą Polaków gnębionych represjami. Innymi słowy, że jest to manifestacja rozpacz. Dla mnie był to wstrząs, ale też dlatego, że my to nagłaśniamy publikując. Z drugiej strony – pamiętam – rozmawialiśmy o tym, że ten krzyk rozpacz może obudzić kogoś do wiary, albo przeszczer przed tym, aby nie ewangelizować w sposób autorytarny. Historia „bruLionu” pokazuje, że to mogło być prawdą. Redakcja (a przynajmniej ta część, która była daleko od Boga) nawróciła się. „BruLion” nie był pismem tak do końca, był pewnym sposobem myślenia uzewnętrznionym w postaci pisma. Ale z czasem wyrosliśmy i formuła „bruLionu” chyba dla nas się przeżyła. Instytucje powinny trwać tylko tak długo, jak długo tworzą.

– Pan został w „bruLionie” do końca?

– Tak, ale z czasem stałem się „panem od poezji”. Ja się nie wstydzę „bruLionu”. Mnie to myślenie stworzyło, przeszedłem przez wszystkie fazy i czegoś mnie to nauczyło.

– Czego nauczył się Pan od „bruLionu”?

– Przede wszystkim ciekawości i lęku przed zasklepieniem się we własnych poglądach i ograniczeniem do własnego punktu widzenia. Chyba większość z nas, którzy zostali, lubi konfrontacyjność. Szanuję całą drogę „bruLionu”. Poprzez skandale i łamanie tabu dociera się na manowce (nie mówię tu o sobie, to nie moja biografia) i zaczyna się wracać. Kolejne łamanie tabu jest dowodem na istnienie świętości. Taka była ta droga.

– Kwietniowy „Przekrój” ogłosił „Ósemkę wspaniałych”, czyli najbardziej obiecujących młodych twórców. Wśród nich znaleźli się m.in.: Marta Podgórnik, Krzysztof Siwczyk, Daniel Odija i oczywiście gwiazda „krajny pajątko” – Dorota Masłowska. Czy według Pana można mówić o nowej generacji?

– Rzeczywiście, przyszedł już chyba czas, żeby pojawiła się nowa wrażliwość. Coś takiego dzieje się mniej więcej co

dwadzieścia lat: 1968 – Nowa Fala, później lata osiemdziesiąte. Teraz więc wypadałoby znowu...

– I w tym wypadku dostrzega się pewną „promocję”, media uczestniczą w lansowaniu tych młodych autorów: działanie „Lampy i Iskry Bożej”, „patronat” Światlickiego nad Masłowską itd.

– Niedobre w tym wszystkim jest to, że zajmują się tym spece i „starsi koledzy”. Nie wyobrażam sobie sytuacji, kiedy miałbym zaczynać i jacyś „starsi panowie” mieliby lansować moje nazwisko. To jest dziwne. Być może te nazwiska, które Pani wymieniła, są dowodami na to, że ludzie ci dopracowali się już własnego stylu. Być może jest to więc nowa generacja? Ale jakoś mniej mi się podoba, że zarządzają ją jej „wirtualni przeciwnicy”. Trochę tak to jest jakby Kajetan Koźmian lub Jędrzej Śniadecki pisał w „Polityce” ówczesnej, że „Mickiewicz jest wielki”. Wyobraża to sobie Pani? Ja nie umiem.

– A może to świadomy wybór tamtej generacji?

– Czy ja wiem... I której generacji? Tej nowej? Która traktowałaby starszych jak „konio trojańskiego”? Czy starszej, która chciałaby utrzymać łabędzią pieśń młodości? A może sprawę w ręce wzięli specjaliści od marketingu, którzy potrafią, jak sami twierdzą, sprzedać wszystko? I każdego? Ale ja uważam to za naturalne, że w kulturze odbywa się walka na idee, a one często wynikają na przykład z innego doświadczenia formacyjnego. Więc bardziej naturalny wydaje się konflikt racji, chyba że nikomu już na racjach nie zależy, ale jedynie na karierze. I to wydaje mi się bardziej prawdopodobne.

– Jak traktuje Pan głos tych twórców, którzy piszą o dresiarzach, paleniu „ruskich L&M-ów”, przedstawiają świat zblazowanych jednostek. Co zapowiadają „mejle”, „esemesy” i „supermarkety” w poezji?

– Jeśli jest to dobra poezja to czemu nie, dobra w sensie warsztatowym. Taki jest świat, poezja przecież wynika z kontekstu. Miłosz Biedrzycki (poeta z Krakowa) jest takim człowiekiem, który próbuje wrzucić nowy język do poezji – komputerowców i marketerów, język stechnicyzowany itd. Nie wiem, czy jest to sztuczny twór, ale być może odzwierciedla wyobraźnię, pewne sposoby myślenia. Masłowskiej nie czytałem, ale też słyszałem, że to naprawdę literatura, która mierzy się z rzeczywistością dresiarzy. Jeśli to jest tylko prawdziwe i posiada jakieś walory artystyczne, to nie można mówić od razu o zepsuciu, nie wolno nawet. Marek Nowakowski też penetrował światy marginesów, a został okrzyknięty dobrym pisarzem. Może Masłowska jest takim Nowakowskim w spódnicy, a nie – ona nie nosi spódnicy... Nie cierpię, kiedy wydaje się wyroki z góry.

Intrygujące jest to, że wchodzi w reklamowanie tego tygodniki, które mają jakąś swoją politykę. W której kultura jest jakimś tam pobocznym elementem indoktrynacji

czytelnika. I jak się tak dzieje, to mój niepokój wzrasta. Takie kolorowe tygodniki są do reklamowania pasty do zębów, a nie literatury.

– Kapuściński mówi, że chcąc dowiedzieć się czegoś o świecie czyta tylko poezję. Czy można dowiedzieć się o nas, o świecie czytając poezję współczesną?

– Można by spojrzeć na to tak, że słowo poetyckie jest najbardziej doraźne, poza całą publicystyką, działaniem prasowym. Być może puls czasów uwyrażnia się w poezji najlepiej. Osobiście nie w tym celu czytam poezję. Czytam każdą poezję bez względu na epoki, która jest w stanie powiedzieć mi coś nowego, pomóc mi zrozumieć siebie w świecie. Ona powinna pogłębić, zmienić, czy też zdziwić mnie czymś, moim rozumieniem istnienia w świecie. I bardziej poezja niż proza jest dla mnie metodą samopomocy do zamieszkania w świecie. Poezja współczesna: Miłosza, Zagajewskiego... pozwala nad tym światem poważnie się zadziwić. Znaczącym poetą dla mnie jest ów Miłosz Biedrzycki, który koncentruje się bardziej na mimetyzmie, jest wyrazicielem wspólnoty ducha tych czasów. Bardzo go cenię. Jego „rozwolniony” język wyraża wołanie o głód w rzeczywistości pustki. Przemawia do mnie szczególnie jeden jego wiersz o rozdzierającym smutku dziewczyny, która w nocy przekłada towary z półki na półkę w hipermarkecie. Mnie to obezwładniło, bo jest to najprawdziwsze, co przeczytałem ostatnio, właśnie o czasach współczesnych.

– Po jaką poezję Pan sięga, aby zrozumieć w niej siebie?

– Jest to bardzo różna poezja, musiałbym wymieniać litanie – od awangardy po poetów klasycznych. Ostatnio wielkim nauczycielem był dla mnie Wacław Potocki, wcześniej na pewno był Rilke, Mandelsztam, Eliot, Brodski. Ze współczesnych jest to na pewno Miłosz, młody, niepatriotyczny Herbert, ale nie Szymborska.

– Dlaczego nie Szymborska? Jak ocenia Pan „Chwilę”?

– Szymborska nic mi nie mówi, co dla mnie mogłoby być pomocne w zrozumieniu świata i mnie w świecie. Nie popycha myśli. Konstatuje – dla mnie, powtarzam – oczywistości, które znam. I to zarówno w sensie roboty poetyckiej, jak i roboty intelektualnej, duchowej. Więc dlatego.

– W takim razie co chciałby Pan, aby Pańska poezja mówiła innym?

– Chciałbym chyba dzielić się swoim poznawaniem rzeczywistości i języka. Kiedyś chciałem, żeby moja poezja poruszyła czytelnika, pozwoliła mu być do głębi lepszym, może mądrzejszym, a teraz chyba nie chcę. Stwierdziłem, że mnie to nie obchodzi.

– Pisze Pan dla siebie?

– Chyba tak... Uświadomiłem sobie, że odrzucając poprzedni rodzaj pisania, z jednej książki na drugą zmieniam się. Zmienianie się jest mi właściwe, mojej poezji... Uważam, że najlepsze w tworzeniu są zmiany. Nienawidzę sytuacji, kiedy przyzwyczajam się do samego siebie, kiedy zostaję przy wypracowanym stylu związanym z książką. To tak jak z muzyką – robi się jeden projekt płyty, on zadziała i próbuje się ten sam styl przerzucić na dalszy czas. Jest wielu twórców, którzy przenoszą się z tym modelem z książki na książkę, bo mają swój sposób i chcą być rozpoznawani. Mam wrażenie, że autoplagiat jest czymś najgorszym, co może spotkać artystę. Ja staram się, aby każda książka była nowym stylem, mówiącym o tym, co najważniejsze... dla mnie. Jest samooszustwem, kiedy powiedziałem sobie już coś w pewnym modelu i wraca się do tego. Dlatego moje książki są zwykle rzadkie, bo potrzeba czasu, by zrzucić stary styl i dopiero znaleźć nowy. A ten moment między starym a nowym to okres tragedii życiowej... Właśnie wydałem nową książkę: ta składa się z 11 długich wierszy, poprzednia to były minimalistyczne zapiski. W tej nowej poezji zasadniczym bohaterem jest referencja, proces orzekania o świecie, język, który światu towarzyszy. Jest to trudna kwestia, stąd jest w książce wiele czytelniczych pomocy: przyspiewki, opowiadki, historyjki, aby łatwiej było uczestniczyć w tym procesie. Dla mnie to bardzo ważna książka, tym bardziej, iż mam wrażenie, że nikt tak dzisiaj w Polsce nie pisze.

Nie wiem jednak jak zostanie przyjęta moja nowa książka. Właściwie sam nie jestem pewien, o czym jest.

– W jednym z wierszy, powołując się na Horacego, napisał Pan: „Początkiem i źródłem dobrego pisania jest mądrość”. Kiedy jesteście pewni, że osiągnęliśmy mądrość, aby być poetą?

– Jeżeli chodzi o wiek, to na pewno około trzydziestki. Wydaje mi się, że to jest ten moment. A mądrość, tak jak mówił Horacy, są to księgi sokratyków, ale też wzory prawdziwego życia. Ważnym postulatem mądrości jest życie w świecie: życie w różnych funkcjach społecznych, w najbardziej naturalnych jak rodzina, obowiązki w społeczeństwie. To jest droga do mądrości, nie ma żadnej innej. A jest początkiem pisania, ponieważ wypływa z chęci podzielenia się swoimi odkryciami; jest źródłem dlatego, że mądrość napędza pisanie. W tym sensie, że pisząc też chcę się dowiadywać. Natchnieniem jest poczucie, że ma się coś do odkrycia, a odkrywanie jest procesem pisania. W tym procesie można zgubić to, co się chce poznać. W związku z tym ten cały proces jest wtedy dobry i sensowny, kiedy udaje się zrekonstruować to pierwsze poruszenie, ruch myśli i dodatkowy narzucić czytelnikowi za pomocą środków poetyckich. Innymi słowy należy zapraszać go do działania, poszukiwania tejże mądrości. Uważam, że trzeba mieć taki postulat, bo jak się tego nie ma, to początkiem pisania jest heca, dowcip albo skandal. Albo poważnie traktuje się sie-

bie i swoje istnienie w świecie, albo robi się ze sztuki hochsztaplerkę.

– Co znaczy dla Pana być poetą?

– Kiedyś strasznie wstydiłem się tego słowa. Z poetą kojarzył mi się zapijaczony literat (bo znam wielu takich z lat siedemdziesiąt, osiemdziesiątych), który ma oczy pełne „poezji”, jeździ na zjazdy poetów itd. Dla mnie znaczy to – absolutnie myśleć i żyć. Poprzez poezję poszukuję, dowiaduję się. Stąd bycie poetą to stan przedzierania zasłony, odsłanianie. Tak naprawdę nie jest się poetą, jest się kimś innym, ma się dużo funkcji życiowych. Tylko w momencie tworzenia czuję się poetą, kiedy trwa wielka radość, że udało mi się coś uchwycić. Później jest refleksja, trzeba doprawiać to, co się napisało, ale to już jest wtórne. A z wiekiem (chyba) coraz rzadziej przychodzą myśli do człowieka – takie, które wywołują prawdziwe poruszenie. Są problemy, do których się dociera, np. problem winy, współcierpienia itd. Filozofowie piszą przez całe życie o tym traktaty. Poeci też rozważają te problemy, czekają na jedną frazę, która przyjdzie, bądź nie. W ten sposób można „zasnąć” na pół roku, a kiedy pojawia się ta fraza, natychmiast uruchamia potencjalnie nagromadzoną ilość skojarzeń, myśli.

Ostatnio ważnym doświadczeniem dla mnie była pewna scena. Jedyny na całej ulicy zobaczyłem kobietę, którą wynosili z karetki pogotowia do szpitala na oddział onkologiczny. Poraziła mnie jej samotność, była starsza, brudna, zupełnie sama. Jechała tam pewnie umierać. Przez moment spojrzeliśmy na siebie, ja na nią, a ona na mnie, nic więcej. To było jak chwilowe dotknięcie. Potem człowiek zaczyna się wikłać w problem samotności.

– Napisał Pan o tym wiersz?

– Nawet trzy napisałem, ukazały się w pięćdziesiątym numerze „Arkanów”. Ten problem, ta historia poprowadziła mnie jakby do przodu, choć to wszystko źle się skończyło. Chciałem znaleźć w tym nadzieję dla siebie... i nie znalazłem. Myślałem, że znajdę rozwiązanie tego cierpienia. Nie było nadziei, tylko ponura konstatacja. Ale o tym się pisze dopiero w pewnym wieku.

– Pańska poezja jest w dużej mierze religijna, czy czuje się Pan poetą religijnym?

– Nie, kiedyś myślałem, że miałem jakąś misję do spełnienia w poezji religijnej. Czuję się człowiekiem, który chce się dowiedzieć po co żyje. Jedynie w ten sposób mogę siebie określić. A że te pytania docierają zawsze do Niego, to to może jest poezja religijna?

– Jest Pan poetą klasykiem? Czym jest dla Pana klasycyzm? Czemu ma służyć?

– Chyba raczej byłem poetą klasykiem. Może teraz jestem poetą awangardowym. Ale może ten dawny klasy-

cyzm pozostał, nie w wizji świata: harmonii, porządku przeciw chaosowi (bo teraz widzę to jako zaklinalanie rzeczywistości, a nie zmierzenie się z nią), ale w tym, że wierzę (nie to, że te duchy wywoływałem w młodości), ale wierzę, że one są. Mój klasycyzm ma wymiar może tylko lingwistyczny, już nie ma tego wymiaru jak dawniej związanego z pewnością, wiarą, harmonią, kosmosem. Bardzo dużo używam języków zmarłych poetów. Podrabiam ich stylistykę, kradnę po prostu, biorę z kogoś jakąś frazę, opracowuję ją itd. Chciałbym, żeby ci różni poeci żyli. Ważny dla mnie jest ostatni tomik Rymkiewicza. To poeta, który mówi wszystkimi językami polszczyzny – czuje się tam Leśmiana, Mickiewicza, ale zarazem czuje się w tym Rymkiewicza. Jest takim medium, przez które przejawiają się języki zmarłych twórców. Za tym idzie wiara w prajednię, która nas wszystkich łączy. Za tym idzie też trudniejsza wiara w to, że ta jedność ducha językowego jest znakiem jedności wspólnotowej, duchowej Polaków. I według mnie to jest wymiar klasycyzmu. Kiedy podejmuje się ów wspólny głos, pewne nawiązania w poezji, które wcale nie są tylko kwiatkiem do kożucha, pokazuje się, że literatura jest żywa. Te motywy, teksty żyją, nimi się oddycha i mówi na co dzień. Śpiewając kolędy Karpińskiego ożywia się go, daje się mu żyć jeszcze raz i Karpiński tworzy nasz język. A tworząc nasz język, tworzy naszą świadomość, i to jest to.

Krzysztof Koehler (ur. w 1963) – poeta, krytyk literacki, historyk literatury, eseista. Pracownik naukowy Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, oraz Wydziału Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Związany z pokoleniem poetów „bruLionu”. Publikuje regularnie na łamach czasopism: „Znak”, „Fronda”, „Arkany”, „Tupos”. Autor tomików: „Wiersze” (1990), „Nieudana pielgrzymka” (1993), „Partyzant prawdy” (1996), „Na krańcu długiego pola” (1998), oraz najnowszego pt. „Trzecia część”.

Smutne pory Czteropak

Grupa poetycka „Pragnienie”

Zegar, słyszę, wybija,
Ustąp, melankolija!

Jan Kochanowski, Pieśń XXIV, Księgi pierwsze

Smutne krople

Rozmyślam nieraz w swojej rozpacz.
Nieraz rozmyślam, gdy już słońce gaśnie.
Myśli pracują, lecz to nic nie znaczy.
Zanim zamilknę, nadzieja zaśnie!

Tęskny wzrok obracam ku gasnącej gwiazdzie.
Ból w duszy siedzi jak pługonurek.
Widzę: podobnie mój geniusz czeźnie.
Gdzieś w dal ulatuje dzikich gęsi sznurek.

Deszcz puka w okno jak listonosz zgrozy
Może list przyniesie
złota polska jesień
z nieba smutnego jak ja.

Częstochowa, w listopadzie

Smutne sople

Całun śniegu okrył zrozpaczoną duszę.
W przeręblu serce rozgrzane smutkiem.
Krzyknę, czym kruków pluton rozjuszę.
Me serce się ściska – jest takie malutkie.

Patrzę na miasto bałwanów w ciemności.
Nikt nie odczuje mych słów chyba. Czemu?
Zimno przenika do szpiku mych kości.
Kraty sopli łyż dają sercu memu.

Śnieg miękko głaszcze me zmierzwione włosy.
Przy zmysłach mnie trzyma
sroga polska zima
bo odczuwam tylko chłód.

Częstochowa, w lutym

Smutne pąki

Słońce popycha przebiśnięgi serca.
Okrutny kacie! Tnij ostrzem miłości!
Kwiecień, maj kwiecisty – kochanków morderca.
Dusza zbudzona oczekuje gości.

Światło oślepia mrok mojej tęsknoty.
Pocieszające promienie czule mnie muskają
Widzę tylko umajone serc płoty.
Do mego – uschłego nijak się nie mają.

W koło rozkwitają pąki mej rozłąki.
Cierpieniu nie sprostam
choć w koło wiosna.
Nie pofrunę jak motyl, o nie.

Częstochowa, w maju

Smutne kłosa

Aż przyszło lato – czy coś odmieniło?
Słońce mordercze godzinę wybija.
Nawet nie zaczęło się – a już skończyło.
I tak mi w ciemności rok kolejny mija.

Wołam Cię, wołam! Znikąd choćby echa,
Z piwnicy życia motyle uciekły
I w słów tych pisaniu jedyna pociecha,
A kłosa samotne kofysze wiatr wściekły...

I jestem ścięty, jakby sierpem żeńców,
Więc w sam środek lata
Odejdę ze świata.
Zagasić źrenice mi czas.

Częstochowa, w sierpniu

List od prof. Antoniego Czyża

W poprzednim numerze „Lasu Rzeczy” zamieściliśmy wywiad z Panią profesorem Teresą Kostkiewiczową. Jedną z poruszanych w nim kwestii było zakończenie współpracy naszego wydziału z profesorem Antonim Czyżem. Gwoli przypomnienia starszym, a wyjaśnienia młodszym studentom – profesor Czyż wykładał na naszej polonistyce literaturę dawną, a także zainicjował działalność Koła Naukowego, oraz zaopiekował się tworzącym się księgozbiorem biblioteki wydziałowej. Prowadził też oferujące interdyscyplinarne spojrzenie proseminarium – wśród uczestników byli już zdeklarowani magistranci. Koło Literackie pamięta i docenia jego zainteresowanie przy swoich propozycjach. Nieprzedłużenie umowy z profesorem nie zostało oficjalnie skomentowane przez władze uczelniane bądź wydziałowe, co wywołało różnego rodzaju plotki wśród studentów.

Dla Czytelników nieznających treści rozmowy z prof. Kostkiewiczową przytaczamy odpowiedni fragment, a także publikujemy przysłany przez profesora Czyża komentarz.

*

– Z jakimi problemami boryka się wydział? Studentów niepokoją różne niesnaski między wykładowcami, zwłaszcza kulminacja, jaką one przybrały w postaci nieprzedłużenia umowy o pracę z Panem profesorem Antonim Czyżem.

– Tak, problemy są. Jeśli chodzi o sprawę prof. Czyża, to mogę powiedzieć jedynie tyle, że nie była to sprawa konfliktów czy niesnasek między wykładowcami. Profesor Antoni Czyż jest ceniony jako badacz i autor wielu ważnych publikacji. W żadnym razie nie chodziło tu o niechęci osobiste. Decyzje, które zapadły na szczeblu władz rektorskich, były szalenie trudne, ale konieczne ze względów pryncypialnych. Wydział jest bardzo młody i takich zmian nie da się uniknąć. Każdy przychodzi tu z innym bagażem doświadczeń i trudno jest z tych wszystkich „pakunków” ułożyć harmonijną całość. Wydaje się, że koszty utrzymania harmonii bywają czasem zbyt duże. Poza tym, dyskusja nad tą kwestią nie dotyczyła tylko grona Rady Wydziału, nad Radą są jeszcze władze uczelniane. Muszę przy tym jeszcze raz zaznaczyć, że w całej tej historii nie znajduję czyjejs złej woli wynikającej z pobudek natury osobistej. Była to taka decyzja, wobec której podjęcia człowiek sam się buntuje.

(„Las Rzeczy” nr 1, s. 29)

Warszawa, 30 I 2003 r.

Sz. Pani
Dr Magdalena Saganiak
– Opiekun
Koła Literackiego
przy Wydziale Nauk Humanistycznych
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego

Szanowna Pani Doktor,

Pierwszy numer pisma polonistów UKSW „Las Rzeczy” za grudzień 2002 zawiera zapis rozmowy Magdaleny Frankiewicz i Dominika Suleja z Profesorem Teresą Kostkiewiczową. Studenci pytają także o mnie: dlaczego już nie wykładam na filologii polskiej UKSW? Pani Profesor odpowiada powołując się na „względy pryncypialne”.

Choć życzliwy ton tych słów jest oczywisty, wymagają one komentarza. Mojej kolejnej rocznej umowy o pracę w UKSW nie przedłużono latem 2002 bez podania powodu i mimo pozytywnej oceny okresowej, nie wskazując racji merytorycznych, tym bardziej – „pryncypialnych”, zatem nie sposób ich teraz wymieniać jako uzasadnienia. Dodam, że prowadzę wykłady na zaocznym studium nauk historycznych UKSW, co – jak widać – tam nie narusza pryncypiów. Takie są fakty.

Przypominam też, że ofiarowałem polonistyce UKSW moją pracę społeczną, honorową: organizując Bibliotekę Wydziałową oraz kierując studenckim Kołem Naukowym, które pod moją opieką przygotowało w marcu 2002 ogólnopolską sesję „Czytać wiek XIX”. Współorganizowałem również na UKSW w grudniu 2001 konferencję etyków, historyków literatury i historyków sztuki o wyobraźni (tom z tego sympozjum – „Wyobraźnia jako jaźń twórcza” – właśnie wyszedł drukiem). Nie mówi się o tym w przytoczonej rozmowie.

Proszę o opublikowanie tego listu na łamach „Lasu Rzeczy”.

Łączę, Pani Doktor, słowa szacunku i serdeczne pozdrowienia.

prof. dr hab. Antoni Czyż

Co warto zobaczyć

Kawiarnia Artystów

Kraków, Łobzowska 3 P 1
Największy i najbardziej uczęszczany lokal polski.

WESOŁO i PRZYJUTNIE

F 2

TYLKO
w Restauracji Hotelu Dworcowego
KRAKÓW ul. Lubicz 3. Telefon 169-79

KAWIARNIA I CUKIERNIA ZAMKOWA
KRAKÓW, ULICA GRODZKA Nr 45
poleca znakomite własne wyroby ciasta i torty
Muzyka rozrywkowa F 7

KAWIARNIA „PANI”. Kraków, św. Jana 11.
Telefon 202-82. Codziennie o 18 muzyka rozrywko-
wa, w w środy, soboty, niedziele — piosenki. W nie-
dziele o 13 muzyka poważna. Smaczna kuchnia do-
mowa, wyborowe trunki. F 9

„Zespół Rymarzy”

POMOCNICZA SPÓŁDZIELNIA

Członków Cechu Wojewódzkiego Rymarzy Z O. U

ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska Nr 36/38.
telefon 173-80

ZAKUPUJE WSZELKIE ARTYKUŁY BRAN-
ŻY RYMARSKO-GAJANTERYJNEJ, ORAZ
WYKONUJE ZAMÓWIENIA Z WŁASNYCH
I Z POWIERZONYCH MATERIAŁÓW #

Dla ZILAWCÓW
TYLKO PRZYPRAWKI DO WÓDEK
Ape

F 10

F 8



Przy plątach, liszajach
i czerwoności skóry

PIJ SOK ŚWIEŻEGO
ŁOPIANU
Magistra GÓBIECA

Do nabycia w aptekach

Grucznica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc
różnicy dla płci, wieku i stanu, kosztuje miliony ludzi.
Przy zwalczaniu chorób płucnych bronchitu, uporczywe-
go, męczącego kaszlu, grypy i t. p. stosują pp. lekarze

BALSAM

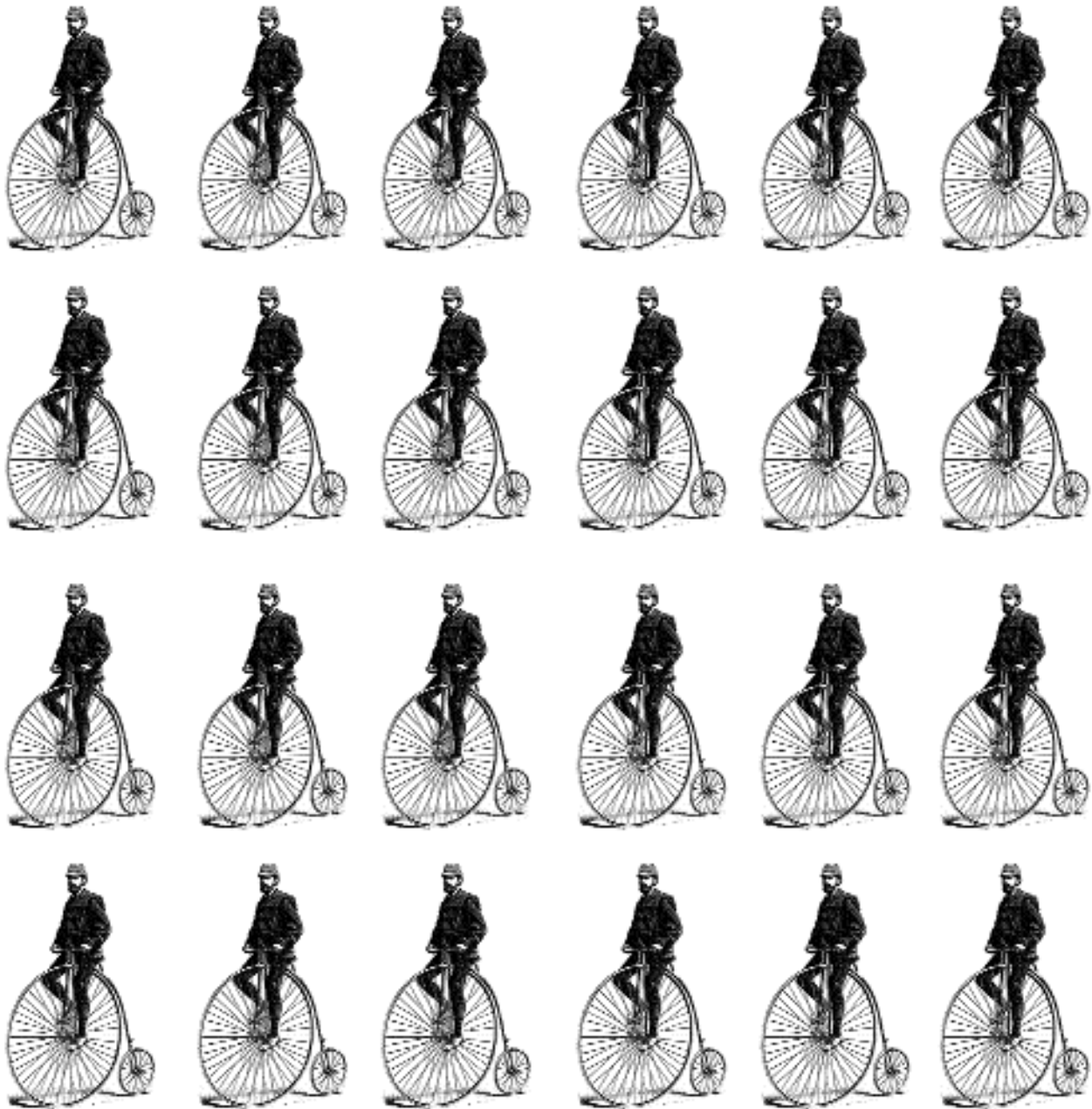
TRIKOLAN,

który ułatwiając wydzielanie się płwociny, wzmacnia
organizm i samopoczucie chorego oraz powiększa
wagę ciała i usuwa kaszel. Do nabycia w aptekach.
F 53



WSP. skuteczność
dławiących
muska. rozciąga defektu

KUP IYGODNIK
ILUSTROWANY „7 DNI”



Spotkania Koła Literackiego odbywają się co drugi piątek o godz. 16.30, w Nowym Budynku UKSW, w sali 422. Mają charakter otwarty. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych. Materiały (formy literackie, eseje, pisma naukowe, publicystyczne) można nadsyłać na podany poniżej adres, bądź pocztą elektroniczną.

Dr Magdalena Saganiak
Koło Literackie
Wydział Nauk Humanistycznych UKSW
ul. Dewajtis 5
01-815 Warszawa
